

NA SZLAKU

LIPIEC · SIERPIEŃ

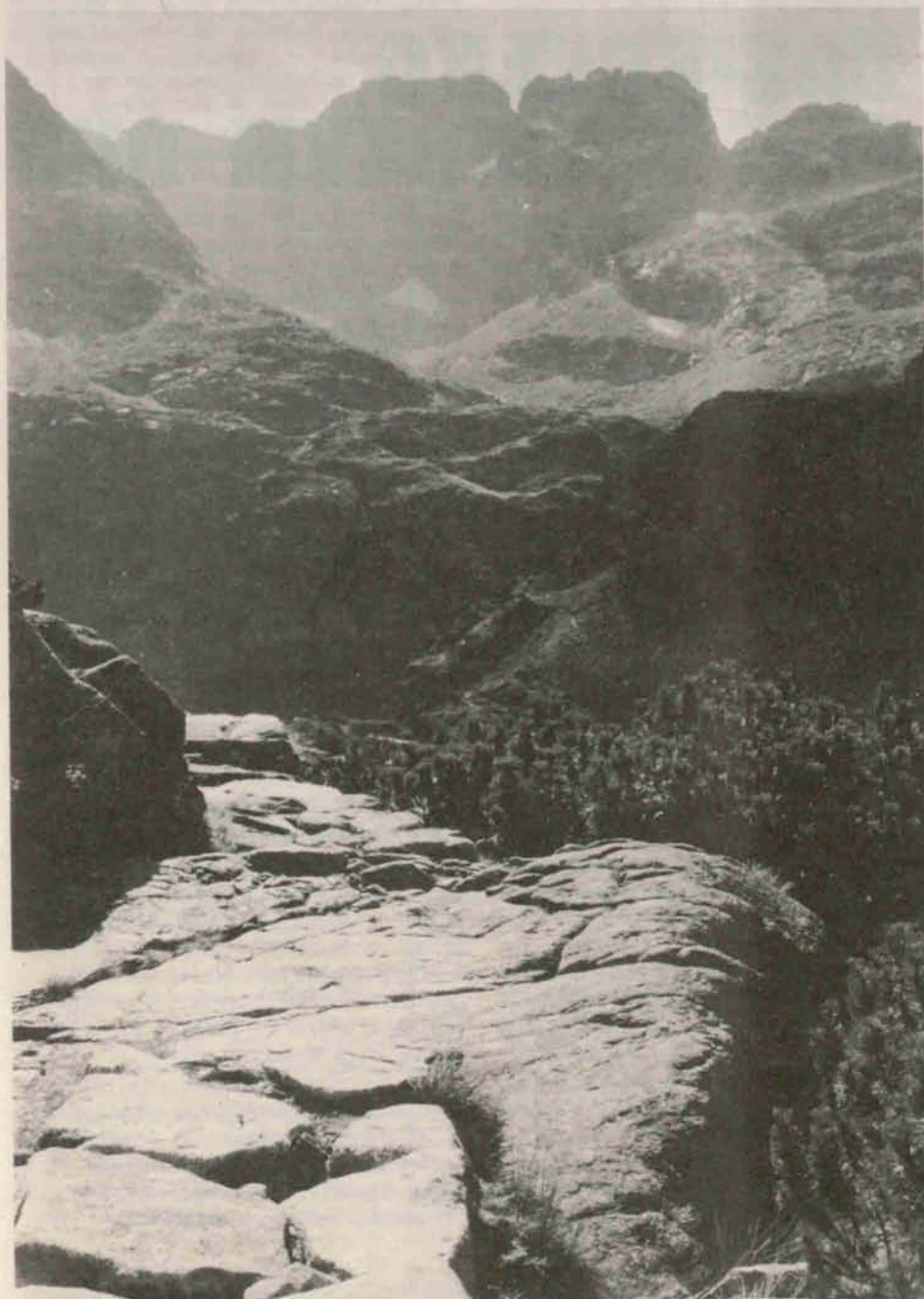
1992

ROK VI NR 7-8/37-38

GÓRY

TURYSTYKA

ALPINIZM



Droga na Zawrat – w głębi Mały Kozł Wierch. Foto: Zdzisław J. Zieliński

W NUMERZE M.IN.:

- Listy, opinie, polemiki...
- Recenzje
- Przehyba już zaprasza turystów
- O cmentarzach wojennych raz jeszcze
- Na szlaku z KTG ZG PTTK
- Na pomoc sudeckim lasom
- Szlaki turystyczne w Karpatach Polskich (3)
- Z dziejów turystyki i literatury górskiej
- Rozmyślenia na szlaku (19)
- Zamkowe opowieści (7)
- Pamiątki z przeszłości
- Chełmowa Góra
- Globtroter
- Góry i alpinizm

Na Szlaku

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy poświęcony górcom.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

Zespół redakcyjny: Piotr Dacko (red. techniczno-graficzny), Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny), Andrzej Matuszczyk (Kraków), Stanisław Nosol (sekretarz red.), Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa), Juliusz Wyślouch (Toruń).

Stale współpracują: Zbigniew Garbaczewski, Tomasz Kowalik (Warszawa), Aleksander Lwow, Przemysław Pilich (Warszawa), Jacek Potocki.

Adres Redakcji: 50-106 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, II p., tel. 44-26-95.

Wydaje: Oficyna Wydawnicza "Sudety" przy Oddziale Wrocławskim PTTK.

Redakcja zastrzega sobie prawo adustacji tekstów.
Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.

Druk: Zakład Małej Poligrafii "POLKARTON" we Wrocławiu

Numer archiwalne do nabycia w Redakcji.

Warunki prenumeraty: Prenumerata wynosi 72 000 zł.

Zamawiający pokrywa koszty przesyłki.
Prenumeratę przyjmuje Oddział Wrocławski PTTK, Oficyna Wydawnicza "Sudety", 50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, II p., Bank Zachodni I/O Wrocław nr konta: 389206-1515-132 z zaznaczeniem "Na Szlaku".

Prosimy o czytelne podanie adresu.

Stały kolportaż prowadzą: CIESZYN – Sklep PTTK "Gronie", ul. Głęboka 42, GLIWICE – Księgarnia "U Piotra", ul. Arkońska 8, JELENIA GÓRA – Oddział PTTK "Sudety Zachodnie", ul. 1-Maja 88 KATOWICE – PTTK, ul. Dyrekcyjna 10, KRAKÓW – Sklep Górski "Wierchy", ul. Szewska 23, NOWY SĄCZ – O/PTTK, Rynek 9, ŚWIDNICA – O/PTTK Świdnica, WAŁBRZYCH – O/Wałbrzyski PTTK, ul. Lewartowskiego 2, WROCŁAW – O/Fabryczna PTTK, ul. Kościuszki 13/5; Centrum Informacji Turystycznej, Rynek 38, ZAKOPANE – Księgarnia Górská im. T. Staicha, ul. Zaruskiego 5 (Dom Turysty) oraz Redakcja.

NA SZLAKU 7-8/37-38 STR 2

Listy...

Do niedawna zadawałem się ludzką życzliwością, nawet jeśli była przyprawiona lekką ironią, z powodu mojej, także ludzkiej, niedoskonałości. Dzięki kolejnym publikacjom Juliusza Wyśloucha („Kto to pisze?” w „Na Szlaku” nr 6/1992), Zaczęto Sasiada na tych łamach, zaczynam mieć wąpliwości, czy mój kredyt zaufania do ludzi nie jest kredytem nadmiernie tolerancyjnym i złudnym.

Szanowny Sasiad zauważył moją skromną publikację w miesięczniku „Jestem” (z lutego 1992 r.). Pod tytułem „Uwaga, lawiny” podałem garść informacji i przestroż, wyrażonych niemal tymi samymi

Można też użyć innych słów, równie zbędnych co karykaturalnie przedstawiających istotę rzeczy, jak w przypadku sławnej łyżki, która „składa się z czaszy zupełnej i części chwytnej”. Proponuję Sasiadowi lekturę artykułu „Wierchy” 38 z 1969 r., w którym o miejscu katastrofy napisano: (turyści szli – dopisek mój) „drogą wodącą od stacji wyciągu w kierunku głębokiego jaru, zwanego „białym”. Nie mam pod rękę dowodu, od jak dawna używana jest ta nazwa, ale zapewne od dawna.

Moja „wyraźna niezręczność” jest skutkiem notorycznego ulegania pokusie pisania po ludzku i dla ludzi oraz użycia określenia

ŻDZIEBEŁKO, ALE W CUDZYM OKU

słowami, jakich od lat używają w podobnych razach ludzie GOPR. Za tę wypowiedź od Sasiada dostałem cenzurkę, wyrażoną słowami: „Autor dość rozsądnie zasygnalizował podstawowe wiadomości dotyczące lawin”. Istotnie, dziękuję, taki miałem zamiar.

Ale kontekst, w jakim Sasiad zrobił pełen życzliwości dla mnie gest (nie mylę się, prawda?), wskazuje, iż – jak to wyraził w tym samym artykule nieco wcześniej – „Artykuły takie wyrządzają wiele szkody w umysłach czytelników mniej zorientowanych w górskich sprawach”. Nadto, bywają niepodpisane, i dlatego godne napiętnowania.

Mój był podpisany, więc nie mam zapewne dużego grzechu, ale Sasiad o tym nie wspomniał. W takiej sytuacji łatwiej (??) Mu czynić zarzut, że ów rzekomo anonimowy autor „nie ustrzegł się pewnej niezręczności pisząc „Biały Jar to popularny szlak”... to nie szlak, tylko formacja terenowa”.

Potem Sasiad „bierze na cel” inny tekst w tym samym numerze „Jestem”, poświęcony alpinizmowi i cytuje obficie z tej przeróbki hasła z encyklopedii (bo taka jest treść tego tekstu, że trudno odmówić cytującemu racji).

Uprzejmie podkreślam, że nie ja jestem autorem tego drugiego tekstu, zaś o lawinach pisałem dlatego, żeby zwrócić uwagę na zjawisko groźne dla każdego, kto chodzi przez Biały Jar zimą. Ale konia z rzędem – także Sasiadowi – za znalezienie turysty, który ścieżkę biegnącą po zboczach tegoż Białego Jaru nazwie inaczej niż „szlak popularny”. Być może ten ktoś wyłoży istotę rzeczy używając słów: „nieświadomi zagrożenia i lekceważący spostrzeżenia ludzie weszli na ostatnią w swoim życiu drogę, biegnącą po formacji terenowej okrytej śniegiem i zagrożonej lawinami”.

„popularny szlak”. Wszak chodzimy po drogach, ścieżkach, stokach, graniach, przecinamy grzbiety i wąwozy, korzystamy z pomocy szlaków turystycznych. Niektóre z nich mają znaczenie podrzędne, są łącznikami ważniejszych lub mniej ważnych. Stąd moje odczucie, że są „popularne”, łatwo dostępne, masowo uczęszczane.

Czy takie określenie jest nadużyciem, niezręcznością, a może nawet „wyrządzeniem szkody w umysłach...” Domyślam się, że Sasiad żąda, życzy sobie, proponuje (niepotrzebne skreślić), abym następnym razem takich szkód nie wyrządzał. Mogę ustąpić, bowiem jestem – niech Szanowny Sasiad nie będzie tym zaskoczony – wielkim miłośnikiem absurdów. Będę oto wyjaśniał „mniej zorientowanym”, że idąc jarem, wąwozem, skacząc przez rów na polu pokonują „formację terenową”. I będę się wspierał „Słownikiem Języka Polskiego”: jar to „dolina erozyjna o wąskim dnie i stromych zboczach”.

Może w ten sposób zasłużę na jeszcze jedną pochwałę Sasiada, że nie „wyrządziłem szkody”. Tego stale pragnę...

Przy okazji: Sasiad ostrymi słowami gromi dyrektora Tatrzciańskiego PN („Na Szlaku” nr 5) za bezprawną sprzedaż biletów do Parku. Proszę zerknąć: Ustawa o ochronie przyrody, Dziennik Ustaw nr 114, pozycja 492, rozdział 3, artykuł 14, punkt 6. Jest, a kto to napisał, niech Sasiad poszpera.

Pedanteria, skrupulatność, nadwrażliwość prowadzą czasem, jak zła mapa, „w maliny” do puryzmu i mentorstwa. A więc bardzo, oj, bardzo daleko od gór. A w górach – czy muszę Sasiada przekonywać – jest o wiele przyjemniej. Serdeczne pozdrowienia

sasiad z łamów „Na Szlaku”
Tomasz Kowalik

Listy, opinie, polemiki...

REDAKCJA „NA SZLAKU”

Z nieukrywaną radością sięgnąłem po miesięcznik „Na Szlaku”. Tak się złożyło, że numer kwietniowy 4/34 z 1992 r. był pierwszym, który trafił do moich rąk. Przyjąłem go z radością, ponieważ miał mi zrekomensować tytuły, które zniknęły, między innymi „Gościńiec”, „IMT Światowid”. Ten pierwszy numer, który przeczytałem, jak to się mówi, od deski do deski, był chyba pierwszym i ostatnim. Spowodował to artykuł Tomasza Kowalika „Marzenie Krygowskiego jest faktem”, który wywołał u mnie prawdziwy szok.

Nie wiem, kto to jest Pan Kowalik, wiem natomiast, kto to jest Pan Władysław Krygowski. Miałem przyjemność osobiście poznać Pana Władysława Krygowskiego, zachwycać się długimi z nim rozmowami i dyskusjami na temat turystyki górskiej, później przez wiele lat korespondując z Nim. Mogę z całą szczerością i odpowiedzialnością stwierdzić, że prawdziwą miłość do gór wszczepił we mnie Pan Władysław Krygowski – nestor turystyki górskiej i narciarskiej, autor przewodników po Beskidach, długoletni

Sekretarz KTG ZG PTTK, Redaktor Naczelny „Wierchów” – człowiek choć, mało mi znany, to jednak przez swoje podejście do gór, bliski i uwielbiany.

Jest szczytem arogancji i złej woli, by prawie pięćdziesięcioletnią działalność człowieka dla dobra turystyki górskiej skwitować zdaniem autora artykułu T. Kowalika: „Zatem mam się spodziewać, że na szczytach innych naszych gór ktoś coś postawi dlatego, że było to marzeniem XYZ, znanego krajoznawcy i nestora turystyki”. Dlaczego T. Kowalik jest tak delikatny i pisze XYZ, a nie W. Krygowski – brak mu chyba odwagi. Pan Kowalik śmie pisać, że zamiast wieży powinien być wydany kolejny tom „Wierchów” – to chyba nie najstosowniejsza lektura dla Pana Kowalika. Redaktorem Naczelnym „Wierchów” przez 25 lat był przecież XYZ.

Nie oczekuję polemiki i dyskusji na ten temat, z całą jednak odpowiedzialnością oświadczam, że czasopismo „Na Szlaku” nie spełniło pokładanych w nim nadziei (przez mnie).

W środowisku turystów górskich i aktywny turystyczny będą przestrzegał przed lekturą tego nasyczonego wręcz nienawiścią wydawnictwa

Kończąc, pragnę zacytować fragment wypowiedzi P. Władysława Krygowskiego pochodzącej z jego książki „Góry i doliny po mojemu”: „Można po drodze w górach i życiu gubić po kolei wszystkie złudzenia, lecz nie wolno zgubić dwóch, wydaje się sprzecznych ze sobą racji, zdrowego rozsądku, który prowadzi i marzenia, które uskrzydla”. (Panu Kowalikowi zabrakło, choć wierzyć, tylko rozsądku).

Z górskim pozdrowieniem.

Janusz Olejarka

Od Redakcji: Dziwi brak tolerancji i tak negatywny stosunek do naszego miesięcznika, tym bardziej że, jak sam autor podkreślił, zapoznał się tylko z jednym jego numerem. Łamy „Na Szlaku” są otwarte dla wszystkich. Każdy może napisać, przedstawić swoje opinie, propozycje, wspomnienia itp. Redakcja nie ingeruje w treść zamieszczanych artykułów, ich ocenę pozostawia Czytelnikom.

MIEJSCE W GÓRACH, czyli quasi-obrona TPN-u

Dobry den – głos młodego jegomościa stojącego przy stoliku z pocztówkami zatrzymał nasze kroki.

- Tu je zona len vstupe. Desat korun.
- Dziękujemy, ale nie interesuje nas kupno pocztówek – odparł Wiktor zdecydowanym głosem.
- Ładne imię ma ta jego żona, Lena – wtrąciła się niezbyt przytomnie Hanka.
- Wiara – spojrzaliśmy z niepokojem na jegomościa z pocztówkami – on chce nam sprzedać bilet w Tatrach.

x x x

Rok 1991 na Słowacji i 1992 w Tatrach Polskich na pewno przejdą do historii turystyki. Od tej pory pokolenia turystów górskich będą dzielić się na tych, którzy nie płacili „wstupenki” i na tych, którzy zaczęli płacić. Jednym słowem weszliśmy wreszcie do światowej rodziny państw wysokorozwiniętych, w których pobieranie taksy za podziwianie piękna przyrody jest na porządku dziennym. Na myśl przychodzą anegdotyczne „saturatory z lykiem świeżego powietrza”, których obecność postulowano w aglomeracjach miejskich Najjaśniejszej Rzplitej naruszonych zębem kłeski ekologicznej. Porównanie wcale nie jest takie nie na miejscu, albowiem i naszym Tatom grozi widmo degradacji naturalnych walorów, na szczęście w porę powstrzymaną barierą symbolicznych opłat. I bardzo słusznie. Kiedy spojrzymy na mapę Europy, to ze zdziwieniem zauważymy, że Tatry swobodnie mogłyby zmieścić się w jednej, średniej wielkości alpejskiej dolinie. O natężeniu ruchu turystycznego tu i tam lepiej w ogóle nie wspominać.

Zachodzi jednakowoż obawa, że zauroczeni tymi najwyższymi, zapomnieliśmy o trochę niższych górach. A przecież wprowadzenie biletów w P i e n i n y, tudzież na teren obrzeży przyszłego zalewu czorsztyńskiego, to warunek „sine qua non” zachowania ich dla przyszłych pokoleń. A co powiecie o Babiogórskim czy Gorcach? Słyszałem, że w Karkonoszach już pozamykano niektóre szlaki turystyczne. Podobno poruszanie się po nich możliwe

ZAPRASZAM NA BARANIĄ

Serdecznie zapraszam kolegę Tomasza Kowalika, autora artykułu *Marzenie Krygowskiego jest faktem*, zamieszczonego w nr 4/92 „Na Szlaku”, do wejścia na Baranią Górę.

Moje zaproszenie wynika stąd, że jestem jednym z budowniczych wieży oraz twierdzę, że Barania Góra była i jest celem licznych wycieczek, w tym także szkolnych do źródeł Wisły – królowej polskich rzek, że wchodząc na szczyt widzimy las, który na przekór życzeniom Kolegi już niewiele urośnie (wzięto to pod uwagę przy budowie wieży) i tylko wąską przecinką (ok. 15^o szerokości) można zobaczyć otoczenie Baraniej, więc wycieczki siadały, jadły, śmieciły, hałasowały i szły dalej.

jest tylko w zorganizowanych grupach prowadzonych za rękę przez uprawnionego przewodnika. Przykład godzien zaiste szerszego naśladownictwa!

Czasem tylko z niepokojem myślę – czy aby nam się powiedzie? Czy nasze sarmackie dusze nie ulęgną się? Czy przed końcem pracy nie zniechęcimy się? Czy, w wypadku niepowodzenia, starczy i dla nas miejsca w górach?

Winien jestem jeszcze PT Czytelnikom zakończenie historii z pocztówkowym jegomościem. Otóż, nie będąc w stanie opłacić się dziesięciokoronowymi banknotami, a to z przyczyny braku takich, powodowani nieposkromioną chęcią poznania oraz miłością gór, ominęliśmy bokiem nieprzystępny rejon i wyszliśmy z powrotem na szlak już poza zasięgiem wzroku owego jegomościa...

Ku przestrodze

Ochroniarzom do sztambucha
wpisał się

Jasiek Gaciorek

Wybudowanie wieży – myśl powstała w Kole Przewodników Beskidzkich w Katowicach – ma chronić przyrodę szczytu Baraniej oraz pokazać turystom okolicznych szczytów, a przy dobrej widoczności nie tylko Piłską, Babiej i Małej Fatry, ale i Tatr.

Rola przewodników, to właśnie pokazywanie piękna naszego kraju. Ciężkie czasy utrudniają nam tradycyjne prowadzenie wycieczek, więc chcieliśmy w ten sposób wyjść naprzeciw potrzebom turystów, właśnie za darmo, nie dla zysku budowaliśmy wieżę, autentycznie w czynnie społecznym (jakie to niemodne pojęcie).

Skoro jesteśmy przy kosztach, to jakoś poradziliśmy sobie, wszystkie koszty związane z projektowaniem i wykonaniem konstrukcji wieży są już zapłacone.

Dziwi mnie chęć Kolegi dysponowania naszym groszem (na schroniska, na GOPR), proponuję, aby Kolega znalazł sponsorów na w. wym. szczytne cele, jak my znaleźliśmy na wieżę. Pełna lista sponsorów znajdzie się niebawem na tablicy umieszczonej na wieży widokowej.

P.S. Terenu nie zniszczyliśmy, wieży z okolicznych szczytów nie widać, bo jej „brzydotę” kryje beskidzki las, a że jest zbudowana solidnie, to mam nadzieję, że Kolega zdąży się o tym przekonać, nawet gdyby teraz się skorzystał z zaproszenia.

Zygmunt Braclawik

Listy, opinie, polemiki...

Szanowny Panie Redaktorze,

nasze długotrwałe i pełne niespodzianek starania o umieszczenie tablicy pamięci dr. A. Ostrowicza zakończone zostały udaną uroczystością w Kłodzku. Jak Pan z pewnością zauważył, nie wypowiedaliśmy się zbyt wiele podczas spotkania poprzedzającego odsłonięcie tablicy o trudnościach związanych z naszą inicjatywą. Trudno jednak wyzbyć się uczucia niesmaku po tym wszystkim, co wiązało się z niewybrednymi atakami na działaczy naszego klubu i próbami stordedowania naszej inicjatywy.

Nasza niewielka grupa działaczy składa się przede wszystkim z osób w jakiś szczególny sposób związanych z Sudetami, np. poprzez urodzenie na tym terenie i spędzenie tam pierwszej młodości, okresowe zamieszkanie tam i pracę, a także przez... małżeństwo. Niestety, bywało często traktowani w sposób niepoważny, z cynizmem szydzono z naszej rzekomo wiejskiej znajomości tego terenu, czy nawet odnoszono się do nas ze złośliwością.

Nigdy chyba nie zapomnimy złośliwego pisma p. Boruckiego z Wałbrzycha, napisanego do ówczesnego ZW PTTK w Poznaniu z cynicznymi uwagami o naszej działalności i

ostrzeżeniami wyrażonymi w ostrym tonie. Było to faktycznie poważniejsze ostrzeżenie, że niezłiwie nam środowisko nie będzie przebiegało w środkach, co miało się później w praktyce potwierdzić.

Powodem niezłiwłości jest chyba fakt, że spora część członków naszego klubu zajmuje się organizowaniem i prowadzeniem wycieczek czy letnich obozów wędrownych. I nic z tego, że przeważnie czynimy to społecznie czy za niewielkie pieniądze i że ci, którzy mają uprawnienia przewodnickie nie chcą być nazywani „przewodnikami”. Nie mówi się bowiem nigdy „przewodnik wycieczki”, lecz „przewodnik wycieczki”. Jest to dosyć istotne, gdyż „przewodnik”, to najwyżej ten, co na czele wyścigu, a my nie chcemy po górach się ścigać czy kogoś wyprzedzać, ale po nich prowadzić i pokazywać to, co najciekawsze. I bez wątpienia nie stanowimy tu dla nikogo żadnej konkurencji.

Dlatego zdumiały mnie i mocno uraziły uwagi p. Garbaczewskiego, poparte zresztą argumentami z pewnej części ciała poniżej pasa. A tymczasem niektórzy działacze (?) z obawy przed takimi „konkurentami” czynią wobec nas dość niezwykle „ukłony”. /.../

Mamy na szczęście dużo więcej Przyjaciół, co zresztą dobitnie wykazała uroczystość w Kłodzku, która na długo pozostanie w naszej pamięci.

Z poważaniem
Lech Rugała



Tuż po odsłonięciu tablicy. Wstęgę trzyma autor tego listu

Szanowna Redakcjo miesięcznika „Na Szlaku”

Zapoznałem się z treścią Waszych artykułów z nr 2/32 z m-ca lutego '92 dotyczących Okręgowego Zespołu Gospodarki Turystycznej PTTK w Jeleniej Górze, a właściwie mojej osoby.

Wszystkie informacje zawarte w powyższych artykułach są nieprawdziwe. Zgodnie z etyką i wiedzą dziennikarską, zanim temat podejmie się na łamach gazety, należy rzetelnie zebrać materiały, ze szczególnym uwzględnieniem ich wiarygodności.

Nie przypominam, sobie, żeby któryś z pracowników Waszego pisma próbował uzyskać informacje w OZGT. Wszystkie dokumenty dotyczące dzierżaw nie są tajemnicą dla działaczy PTTK, wystarczy tylko po nie sięgnąć.

Waszych pracowników nie uważam za dziennikarzy, oni chyba też siebie tak nie traktują, gdyż w innym przypadku można wyciągnąć daleko idące wnioski dotyczące rzetelności dziennikarskiej i prawa prasowego.

Dziwi mnie tylko fakt, że z taką beztróską wysuwa się oskarżenie pod moim adresem, czyniąc mi tym wielką krzywdę, jednocześnie podważając zaufanie przełożonych do mojej 18-letniej pracy w OZGT PTTK w Jeleniej Górze – nie mając ku temu żadnych podstaw faktycznych, ani prawnych.

Mam nadzieję, że w/w artykuły zostaną sprostowane albo napisane w nowym, prawdziwym brzmieniu. W oparciu o dokumenty znajdujące się w OZGT.

Z poważaniem
Dyrektor Wiktor Tymiński

Od Redakcji: nie zatrudniamy nikogo, zaś za treść artykułów odpowiadają ich autorzy. Niestety, niniejszy list niczego do sprawy nie wnosi, a przydałyby się konkretne informacje. Polemika Z. Garbaczewskiego na str. 22.

W lutowym numerze „Na Szlaku” Marek Staffa i Zbigniew Garbaczewski ukazali dość katastroficzną wizję turystyki kwalifikowanej, w tym także problemów obiektów turystycznych PTTK w woj. jeleniogórskim. Uznając wagę i pilny charakter sprawy schronisk uważam jednak, że w niektórych kwestiach emocje i przypuszczenia, zwłaszcza u Zbigniewa Garbaczewskiego, wzięły górę nad faktami. Tymczasem trudnych spraw dotyczących schronisk jest wystarczająco dużo, aby dla ukazania wagi problemu nie korzystać z informacji nieścisłych lub nieprawdziwych.

Stąd uważam za konieczne przedstawienie rzeczywistej sytuacji schronisk i domów wycieczkowych znajdujących się w gestii Okręgowego Zespołu Gospodarki Turystycznej PTTK w Jeleniej Górze, prawnej i organizacyjnej, zarówno aktualnej, jak i planowanej.

Podstawę informacji o aktualnym stanie prawnym obiektów stanowi opracowanie pod nazwą „Ocena formalno-prawna nieruchomości”, przygotowana przez Agencję „Kompas” w

tracyjnymi przekazano bowiem obiekty w 1976 r. na rzecz ZG PTTK.

Wprawdzie w następnych latach wydano nowe decyzje administracyjne, wskazujące na OZGT jako na stronę uzyskującą prawo użytkowania wieczystego, jednakże było to nieprawidłowe, co ZG PTTK zauważył. Mimo to sprawy tej nie doprowadzono do końca. Nie byłoby zresztą sprzecznych decyzji administracyjnych, gdyby w 1976 r. Zarząd Główny przejął notarialnie obiekty (nieco inna sytuacja jest z „Czartakiem”, ale i tu z niewiadomych powodów nie doprowadzono do notarialnego przejęcia w użytkowanie wieczyste).

W moim odczuciu jest to przykład marginalnego traktowania przez ZG PTTK spraw schronisk sudeckich, które nie mają żadnych szans przy obiektach położonych na terenie Karpat. Myślę, że wystarczy chociażby przeanalizować kierunki wyjazdów prominentnych pracowników i działaczy Zarządu Głównego, aby mieć podobne odczucie.

Nie jest jednak prawdą, aby jakie-

czuwalny jest brak rady programowej OZGT i wojewódzkiej komisji turystyki górskiej, które nie zostały czymkolwiek zastąpione. Oddziały zaś praktycznie nie są dla OZGT partnerem i autorytetem. Proszę tego źle nie zrozumieć – to nie jest tęsknota za zarządami wojewódzkimi, a jedynie stwierdzenie realiów istniejących w woj. jeleniogórskim, choć chyba nie tylko w tym województwie. Niestety, Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK nie potrafiła w znaczący sposób wejść w lukę powstałą – jeśli chodzi o schroniska – po likwidacji zarządów wojewódzkich.

Przyszłość rysuje się niejasno. Doszły problemy związane z ustawą z 16.10.1991 r. o ochronie przyrody, a zwłaszcza art. 14 ust. 10, mówiącym: „Nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa, położone w granicach parku narodowego, przechodzą w zarządek parku. Rada Ministrów określa, w drodze rozporządzenia, wyjątki od tej zasady”. Zgodnie z art. 62 ust. 1 tej ustawy, przejęcie w zarządek ma nastąpić w ciągu roku od wejścia w życie usta-

O SCHRONISKACH - BEZ EMOCJI

Jeleniej Górze. Korzystałem też w niezbędnym zakresie z dokumentów źródłowych. Pomijam nieruchomości niezabudowane i nie pełniące funkcji turystycznych (łącznie 4) i zajmę się schroniskami i domami wycieczkowymi (lub turysty). Jest ich łącznie 18. Ich sytuacja prawna jest zróżnicowana, zaś pozycja PTTK w kilku przypadkach niezbyt korzystna, przynajmniej w chwili obecnej.

PTTK nie jest właścicielem żadnej z działek, na jakich znajdują się te obiekty. Aż 13 działek przekazane zostało w użytkowanie wieczyste Zarządowi Głównemu PTTK, na okres 99 lat. Jedenaście z nich przekazano w użytkowanie wieczyste wraz ze znajdującymi się na nich obiektami. Natomiast na dwóch działkach budynki zbudowane zostały ze środków PTTK (DT „Wilcza” i schronisko „Na Szrenicy”).

Nadto na Przeł. Okraj dobudowano drugi budynek. We wszystkich przypadkach można mówić o zabezpieczonym prawie PTTK do obiektów turystycznych. Znacznie bardziej skomplikowana i niekorzystna sytuacja jest w przypadku pozostałych pięciu obiektów: „Samotnia”, „Strzecha Akademicka”, „Odrodzenie”, „Nad Małą Łomniczką” i „Czartak”. Dla tych schronisk ZG PTTK nie ma dotąd prawa użytkowania wieczystego gruntu i budynków, mimo że w większości przypadków władze terenowe wydały decyzje o przekazaniu obiektów w użytkowanie wieczyste dla ZG PTTK. Sprawy te jednak nie zostały doprowadzone do końca, czyli do przekazania tego prawa w formie umowy notarialnej. Obciąża to Zarząd Główny i może mieć negatywne następstwa w zakresie zachowania obiektów w PTTK. Obowiązki w zakresie definitywnego załatwienia sprawy użytkowania wieczystego tych obiektów spoczywały na Zarządzie Głównym, gdyż tylko on mógł być stroną umowy. Stosownymi decyzjami adminis-

tracyjnymi przekazano bowiem obiekty w 1976 r. na rzecz ZG PTTK. Wprawdzie w następnych latach wydano nowe decyzje administracyjne, wskazujące na OZGT jako na stronę uzyskującą prawo użytkowania wieczystego, jednakże było to nieprawidłowe, co ZG PTTK zauważył. Mimo to sprawy tej nie doprowadzono do końca. Nie byłoby zresztą sprzecznych decyzji administracyjnych, gdyby w 1976 r. Zarząd Główny przejął notarialnie obiekty (nieco inna sytuacja jest z „Czartakiem”, ale i tu z niewiadomych powodów nie doprowadzono do notarialnego przejęcia w użytkowanie wieczyste).

W moim odczuciu jest to przykład marginalnego traktowania przez ZG PTTK spraw schronisk sudeckich, które nie mają żadnych szans przy obiektach położonych na terenie Karpat. Myślę, że wystarczy chociażby przeanalizować kierunki wyjazdów prominentnych pracowników i działaczy Zarządu Głównego, aby mieć podobne odczucie.

Nie jest jednak prawdą, aby jakie-

kolwiek obiekty turystyczne PTTK na terenie woj. jeleniogórskiego zostały sprzedane. Dotyczy to także schroniska „Na Przełęczy Okraj”, DW „Złota Jama” w Szklarskiej Porębie i schr. „Kochanówka”. Być może, dzierżawcy tych obiektów czują się ich właścicielami, zaś emblemat PTTK ma dla nich obojętny lub zbędny charakter, ale to jeszcze nie oznacza przeniesienia na nich innego prawa do obiektu aniżeli dzierżawa. Aby nie być gołosłownym, przytaczam dane z umów zawartych z dzierżawcami obiektów. Umowy te nadal obowiązują:

– schr. „Kochanówka”: dzierżawca Alfred Michalak, umowa dzierżawy od 14.03.1991 r. na 5 lat,

– schr. „Na Przełęczy Okraj”: dzierżawca Ryszard Stempień, umowa od 15.12.1990 r. na 5 lat,

– DW „Złota Jama”: dzierżawca Bronisław Ogrodzki, umowa od 5.01.1991 r. na 5 lat.

Umowy zawierają także klauzulę o honorowaniu uprawnień członkowskich PTTK oraz o zakazie przekazywania obiektu osobom trzecim. Szkoda, że koledzy Staffa i Garbaczewski nie sprawdzili zasadności swych zarzutów „u źródła” czyli w OZGT Jelenia Góra.

Niewątpliwie pozostaje jednak pytanie, jak będą funkcjonowały schroniska i co będzie miał z nich turysta? Dopóki istniał Zarząd Wojewódzki PTTK w Jeleniej Górze, chociaż nie miał służbowych uprawnień wobec kierownictwa OZGT, to jednak w różny sposób wywierał znaczący wpływ na kierunki działania i niektóre decyzje, podejmowane w tym przedsiębiorstwie.

Dosyć skutecznym instrumentem była m.in. zapomniana już uchwała nr 100 Prezydium ZG PTTK. Obecna struktura PTTK praktycznie pozostawiła OZGT poza oddziały-

wy, czyli od dnia 12.12.1992 r., przy czym „obsługę ruchu turystycznego na obszarze parków narodowych przejmą dyrektorzy parków”. Końcowa część art. 62 daje Ministrowi Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa prawo odstąpienia od spraw przejęcia w ciągu roku przez dyrektorów parków zarządku obiektami oraz obsługi ruchu turystycznego. Nieprecyzyjne sformułowanie nie pozwala jednak na jednoznaczne ustalenie, czy prawo to dotyczy tylko terminów czy też zakresu przejęcia.

Skrajnym efektem nowych przepisów może być w szerokim zakresie wyprowadzenie gospodarki i działalności Towarzystwa poza parki narodowe. Jedyną szansą jest ujęcie PTTK w rozporządzeniu Rady Ministrów, która ma określić wyjątki od zasady przejęcia nieruchomości oraz w zarządzeniu ministra o wyjątkach od stosowania art. 62 ust. 1 cyt. ustawy. Stąd potrzeba szybkich i aktywnych działań ze strony ZG PTTK, zanim przepisy takie zostaną wydane. W przeciwnym wypadku nasz wpływ na turystykę górską na terenie parków narodowych może zostać ograniczony do minimum, także w zakresie dostępności szlaków turystycznych.

Zachowanie przez PTTK swych schronisk na terenie parków narodowych zależeć będzie również od tego, czy ich właścicielem jest Skarb Państwa czy też są one mieniem komunalnym. W woj. jeleniogórskim – jak mnie poinformowano – dokonano komunalizacji mienia znajdującego się na terenie Karłonoskiego Parku Narodowego i właścicielem obiektów użytkowanych lub zarządzanych przez PTTK są gminy. Ratuje to PTTK przed automatyczną utratą schronisk, ale nie zwalnia z obowiązku jak najszybszego uregulowania sytuacji prawnej tych obiektów, których nie

Listy, opinie, polemiki...

wyprawa, Błski Przewodnik

ma w użytkowaniu wieczystym. Pilną potrzebą jest nawiązanie właściwych, obustronnie korzystnych kontaktów z burmistrzami miast i wójtami gmin, dotyczących wszystkich obiektów PTTK na ich terenie, także tych, co do których mamy przekazane użytkowanie wieczyste. Nie można też poza tymi układami pozostawić dyrekcji KPN, która powinna być dla PTTK partnerem, a nie konkurentem. Jest to zadanie nie tylko dla OZGT i oddziałów PTTK, ale przede wszystkim dla władz centralnych Towarzystwa. Od tego, jak Towarzystwo potrafi usytuować się w skomplikowanych układach w terenie, zależeć będzie jego przyszłość.

Skoro już o przyszłości mowa, to kilka zdań o prawdopodobnych kierunkach zmian w gospodarce schroniskami. Na wniosek Szkoły Górskiej Przewodników PTTK w Karpaczu, przekształcającej się w spółkę PTTK, Prezydium ZG PTTK wyraziło zgodę na przejęcie przez tę spółkę kilku obiektów, administrowanych dotąd przez OZGT. W grę wchodzi: „Samotnia”, „Na Przełęczy Okraj”, „Nad Małą Łomniczką”, „DT Wilcza”, „Pod Śnieżką” i „Szwajcarka”. Zmiana ta nie będzie miała wpływu na charakter tych obiektów, w pełni dostępnych dla turystów i gwarantujących przestrzeganie wszystkich praw członków PTTK.

Dla pozostałych obiektów PTTK, administrowanych dotąd przez OZGT w Jeleniej Górze, utworzona zostanie druga spółka PTTK. Przy tym jest możliwe, że spółka ta obejmie także obiekty PTTK znajdujące się na terenie woj. wałbrzyskiego. Jaki będzie ostateczny kształt organizacyjny i gdzie będzie siedziba spółki, dowiemy się po zakończeniu prowadzonych prac przygotowawczych. Na pewno szybciej zakończone zostaną prace nad spółką „Szkoła Górską Przewodników PTTK z siedzibą w Karpaczu”.

Czas pokaże, czy będą to najlepsze rozwiązania. Pewne jest jednak, że zmiany organizacyjne są konieczne i że powinny być dokonane jak najszybciej. Jednocześnie jednak konieczne jest stworzenie form oddziaływania społecznego, aby nowe jednostki organizacyjne nie mogły zapomnieć, że nadal są „petetkowskie” i że ich celem jest obsługa turystyki kwalifikowanej.

Potrzebne są nowe rady programowe (nazwa jest zresztą obojętna) z takimi kompetencjami, aby mogły zadbać o interesy turystów. I to jest chyba w chwili obecnej jedno z najważniejszych zadań stojących przed KTG ZG PTTK, które oby nie rozmyło się w dyskusjach, projektach, programach.

Wojciech Sobiech

Od Redakcji: Do listu Zbigniew Garbaczewski ustosunkowuje się w „Rozmyślniach na szlaku” na str. 22 naszego miesięcznika.

NAJSTARSZY PRZEWODNIK

Po wnikliwym przeczytaniu „Na Szlaku” nr 4/34, pragnę sprostować informację zawartą w notatce pt. „Przewodniki zachodniosudeckie – na wystawie”. Autor w/w relacji z wystawy, zorganizowanej w Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, żałuje, że „nie udało się zdobyć choćby reprodukcji pierwszego polskiego w ogóle przewodnika /.../ pracy K. Mattisa z 1826/27 r.” (podkreślenie moje).

Na podstawie rocznika „Ziemia” z lat 60-tych pozwolę sobie podać informację o rzeczywiście najstarszym zanotowanym przewodniku polskim o nazwie: „Gościniec” albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej dla kompaniję dworskiej przez Adama Jarzemskiego, muzyka J. K. M., budowniczego ujazdowskiego. Wydany Roku P. 1643”. Jarzębki lub Jarzembki, żyjący w latach 1580-1650, urodził się w Warce, a żył w Warszawie. Uważany jest za autora bodaj pierwszego na ziemiach polskich przewodnika turystycznego.

Powyższa informacja zaczerpnięta została z audycji nadanej dnia 23 kwietnia 1992 r. przez Rozgłośnie Związkową Jeleniowskich Zakładów Samochodowych. Jest to blok programów informacyjnych, które raz

w tygodniu zawierają też krótką audycję o tematyce turystycznej.

Pierwsza taka audycja miała miejsce na początku marca, a głównym motywem była rocznica zdobycia w Andach szczytu ACONCAGUA (8.3.1934) przez Polaków, nową trudniejszą drogą. „Wyżej niż kondory”, to książka W. Ostrowskiego, opisująca przebieg wyprawy, podczas której zdobyto nieznaną szczyt, nazwany Pico Polaco.

Audycja turystyczna poświęcona jest turystyce, a zawiera biografie znanych krajoznawców (Orłowicz, Goetel, Zaruski, Janowski, Romer i wielu innych), regulaminy odznak turystycznych, zapoznaje słuchaczy z historią PTTK, przybliży ciekawe pod względem turystycznym miejsca. W każdej audycji jest zawarta zgaduj-zgadula premiowana wydawnictwem krajoznawczym fundowanym przez autora audycji.

Autorem audycji jest Jan Janota, będący Przewodnikiem Turystyki Górskiej, działający w PTTK Ziemi Brzeskiej (woj. polskie).

Z turystycznym pozdrowieniem!

Jan Janota

Od Redakcji: Chodziło o najstarszy po polsku przewodnik po Sudetach!

PISZĄ O KARPATACH

Karpaty to na tyle rozległy teren, że problematyką może zaspokoić wiele tytułów czasopism i wiele kręgów czytelniczych. Dlatego też na gruncie krajoznawczego zainteresowania tym regionem powstało w 1990 r. Towarzystwo Karpackie z siedzibą w Warszawie (?). Wydaje ono swój *Biuletyn Towarzystwa Karpackiego*, z którym niedawno mieliśmy okazję się zapoznać.

Objętościowo skromny, ledwie osiem stron formatu A5, ale starannie wydany (redaktor: Paweł Luboński, ul. Walecznych 3/5, 03-916 Warszawa), przynosi różne ciekawostki regionalne i wiadomości organizacyjne. Autorzy piszą m.in. o trudnościach w dogadaniu się z dyrekcją Bieszczadzkiego PN (my też stale o tym informujemy), o nazwach terenowych itp. Zamieszczane są recenzje i zapowiedzi wydawnicze, które pozwalają dotrzeć do poszczególnych pozycji ginących w natłoku rynkowej szmiry. W sumie – ciekawy materiał. Oby tylko był dostępny także w ważniejszych bibliotekach, stąd warto zaapelować do wydawcy: nie zapominajcie o egzemplarzu obowiązkowym do największych, w tym uniwersyteckich, bibliotek w kraju!

UWAGA NAUCZYCIELE!!!

Oficyna Wydawnicza „SUDETY”
Oddziału Wrocławskiego PTTK
50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12,
tel. 44-26-95

informuje, że ukazał się właśnie poradnik metodyczny Bronisława Zathy'ego
"WYCIECZKI DLA MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ"

Książka jest znakomitym poradnikiem, przede wszystkim dla nauczycieli organizujących wycieczki dla uczniów szkół podstawowych. Po części ogólnej, dotyczącej spraw merytorycznych i formalnych związanych z organizacją wycieczki, zawarte są propozycje wycieczek dla każdej z ośmiu klas, dostosowane programem do możliwości uczniów danej grupy wiekowej.

Cena książki wynosi 20 000 zł. Przy zleceniu wysyłki pocztą prosimy przesłać przekazem pocztowym kwotę 25 000 zł.

Z dużym opóźnieniem dotarł do mnie artykuł „Jak powstały Góry Stołowe” pana Edmunda Jończy, zamieszczony w marcowym numerze „Na Szlaku”. Przesyłam na ręce Redakcji kilka skromnych uwag, jakie nasunęły się podczas jego lektury.

To dobrze, że ktoś wreszcie zwraca uwagę na jakże ważną sprawę – genezę tego, co do dziś określamy wspólnym mianem Sudety. Brak w literaturze turystycznej czy popularnonaukowej wiadomości z geologii i geomorfologii Sudetów jest dotkliwy i zarazem zaskakujący. Wiele jest publikacji dotyczących rozwoju kultury (architektury, sztuki itp.) i historii oraz wiadomości z ostatnich tysiącleci,

możliwe najbardziej prawdopodobnymi, w świetle znanych faktów, rozwiązaniami. Nie należy więc używać kategorię stwierdzeń.

Przedstawienie ciekawszej koncepcji uformowania się Gór Stołowych rozpoczyna pan Jońca od błędu, który trzeba chyba uznać za przypadkowy lub powstały z winy redakcji, gdyż woda była najważniejszym i chyba raczej najefektywniejszym (a nie najefektowniejszym) czynnikiem rzeźbotwórczym. W dalszej części dostrzegłem tylko jeden, ale za to niezwykle istotny błąd. Posłużyć się tu cytatem: „Wydzwignięcie osadów górnej kredy, z których zbudowane są Góry Stołowe, pod koniec alpejskich ruchów górotwórczych, prawie 200 m

wcześniej, skąd wzięły się piaskowce budujące stołowogórska płytę? Warto więc dodać, że powstały one w dolnej części górnej kredy w niezbyt głębokim zbiorniku morskim, którego dno było ruchome – rozcinane uskoki. Powodowało to tworzenie się przekątnego warstwowania doskonale dziś widocznego w tworzonych wówczas piaszczystych osadach, z których powstały stołowogórskie piaskowce. Utworzyły się one z istniejących wcześniej skał osadowych, na co również istnieją dowody w postaci składu i, ogólnie rzecz biorąc, wyglądu ziarn piaskowców. Pojawiające się margle i mułowce oraz skały przejściowe do piaskowców są świadectwem występowania w górno-

O POWSTANIU GÓR STOŁOWYCH UWAG KILKA

kiedy to człowiek dumnie wkroczył w Sudety. Możemy więc dowiedzieć się, co nasi przodkowie robili w Sudetach, oglądać pamiątki materialne ich kultury. Wiele osób wyróżnia ten region spośród innych właśnie ze względu na odmienną kulturę. Nikt jednak nie zastanawia się nad przyczynami tych różnic, a przecież jedną z najważniejszych jest to, że Sudety są po prostu GÓRAMI. Tak więc różnice kulturowe wynikają m.in. z odmiennych warunków geograficznych, z jakimi człowiek zetknął się w Sudetach. Rodzi się więc pytanie, dlaczego góry w ogóle powstały i następnie, dlaczego są takie, a nie inne. Niestety, na ten temat brak jest popularnonaukowych wypowiedzi ludzi zajmujących się zawodowo tymi problemami – geologów i geomorfologów. Rzadko pojawiają się artykuły wąpliwej jakości osób pośrednio związanych z tą problematyką. Tym bardziej cieszy dość rzetelnie napisany artykuł pana Edmunda Jończy. Jednak i on nie ustrzegł się kilku błędów.

Wyprowadźmy czytelnika najpierw z dość dziwnego błędu. Otóż stratygrafia jest nauką zajmującą się ułożeniem warstw skalnych oraz ich wzajemnymi relacjami czasowymi i przestrzennymi. Skąd wziął pan Jońca słowo litografia (wg niego to ona zajmuje się „wzajemną relacją warstw i poziomów skalnych”), pozostanie jego tajemnicą. W geologii z tym terminem nigdy się nie spotkałem, natomiast znaleźć go można w Encyklopedii PWN, t. 2, str. 739. Tamże – litografia (gr.), technika graf. płaska... Nie o to więc chyba chodziło.

W dalszej części artykułu dość sensowne i zwięzłe przedstawienie faktów jest tym, czego należałoby oczekiwać od takiej publikacji. Brak jest jednak podkreślenia, że o efekcie końcowym, jakim są Góry Stołowe, nie decydował jeden główny czynnik, a cały ich zespół, z którego kilka być może było ważniejszych niż inne. Zaznaczyć warto, że stuprocentowego powodu przemawiającego za jakąś koncepcją nie znajdziemy nigdy. Nasze poglądy będą jedynie

ponad otaczającą powierzchnię wzdłuż dużych uskoków tektonicznych, spowodowały powstanie na liniach uskoków wysokich na 100–200 m progów strukturalnych. Stanowią one krawędzie brzeżne Gór Stołowych”. Mój komentarz do tego fragmentu jest następujący:

– po pierwsze: wydzwignięcie tylko części osadów górnej kredy (rów górnej Nysy został wręcz obniżony wraz ze skałami górnej kredy, identycznymi, jak skały Gór Stołowych), co będzie miało znaczenie za chwilę,

– po drugie: jeśli cokolwiek zostaje podniesione wzdłuż uskoku tektonicznego, jest oczywiście oddzielone od sąsiednich skał progiem tektonicznym, a nie strukturalnym. Próg strukturalny powstaje wówczas, gdy różna jest litologia skał, np. występują obok siebie piaskowce i bazalty, wtedy skały mniej odporne (piaskowce) erodowane są szybciej, tworząc morfologiczne obniżenie obrębnie własnej wychodni i wyraźny PRÓG STRUKTURALNY w miejscu pojawienia się skał odporniejszych (bazaltów). Tak więc, gdy podniosła się płyta piaskowca, rozleglejsza niż dzisiejsze Góry Stołowe, była ona ograniczona progami tektonicznymi. Dopiero późniejsza, jak zawsze selektywna, denudacja doprowadziła do powstania dziś obserwowanych progów strukturalnych związanych z różną odpornością skał budujących Góry Stołowe. Dzisiejsze krawędzie tych gór są znacznie cofnięte względem pierwotnych (sprzed około 20 mln lat) i, co za tym idzie, powierzchnia całej płyty jest znacznie mniejsza.

Cały obszar rozwoju rzeźby Gór Stołowych został rzetelnie i ciekawie przedstawiony, choć mnie osobiście brakowało kilku, chociażby tych najbardziej zrozumiałych, argumentów przemawiających za takimi właśnie, nawet ilościowymi (a nie tylko jakościowymi) opisami poszczególnych procesów rzeźbotwórczych.

I tu kolejna uwaga. Dostrzegam zasadniczą różnicę pomiędzy powstaniem Gór Stołowych (taki był tytuł artykułu) a rozwojem ich rzeźby (taka była treść artykułu). Cóż działo się

kredowym morzu zmiennych prądów wpływających na osadzany materiał i powodujących jego zróżnicowanie w czasie i przestrzeni. Obecność podobnych osadów w Górach Bystrzyckich i Orlickich świadczy o połączeniu tego morza ze zbiornikiem istniejącym w północnych Czechach. Dopiero po dłuższym czasie (kilkadziesiąt mln lat), kiedy to morze wycofało się z tego obszaru, w trzeciorzędzie zostały one podniesione wzdłuż uskoków, a dalsza ich historia jest ciekawie opisana przez Edmunda Jończy.

Artykuł „Jak powstały Góry Stołowe”, mimo kilku błędów i niedociągnięć (z braku miejsca nie o wszystkich udało mi się napisać), należy uznać za pozytywny i ciekawy wyjątek wśród tekstów poświęconych geologii i geomorfologii Sudetów w wydaniu „dla każdego”. Jest to być może wynikiem zrelacjonowania jedynie poglądów geomorfologa – pani M. Z. Pulinowej. Tekst taki jest niewątpliwie potrzebny, gdyż można znaleźć w nim wiele ciekawych wiadomości i, co ważniejsze, swym poziomem naukowym znacznie odbiegający na korzyść od tak często serwowanych krajoznawcom i turystom bajek geologiczno-geomorfologicznych.

Oby więcej takich publikacji!

Tadeusz Przylibski

Studenckie Koło
Przewodników Sudeckich – Wrocław

Od Redacji: Bierzemy na siebie winę za błędy, wynikające z przekręcenia słów. Autor tego nie mógł napisać – to tylko chochlik namieszał. A że za mało szczegółów – cóż, trzeba sięgnąć po książkę, gdyż intencją było właśnie zainteresowanie nią.

Recenzje

Jeden ze współpracowników „Wierchów”, Paweł Radwan, pisząc w nowym ich tomie o zakopiańskim „Podtatrzu”, wspominał mu „przedziwną aperiodyczność”, broniąc jednocześnie opóźnień, z jakimi ukazują się „Wierchy” i w zakończeniu dał redaktorom „Podtatrza” radę, którą jednak przede wszystkim same „Wierchy” sobie powinny wziąć do serca. Stwierdził mianowicie Radwan, że aby stać się prawdziwie dobrym pismem trzeba przestać być „periodykiem aperiodycznym”. Otóż rada ta bardziej dotyczy „Wierchów” niż „Podtatrza”. Mają bowiem „Wierchy” na sumieniu wiele: krąg zawiedzionych

więc szeroką możliwość wyboru i „Wierchy” muszą uważać, by w tej konkurencji nie ponieść porażki.

Czy nowe „Wierchy” nie giną w niej? Musi o tym myśleć także wydawnictwo wypuszczające je w świat: wrocławskie „Sudety” są oficyną nową, wchodzącą jednak przebojem na rynek i można się spodziewać, że udźwigną ciężar wydawania szacownego rocznika o tak poważnej tradycji.

Jak wyczytać można z noty redakcyjnej, w ciągu pięciu lat nie zmienił się ani redaktor „Wierchów”, ani nie zmieniło się jego kolegium redakcyjne. I w samych

nimi: fotografia wkomponowana w tekst pisany staje się przecież składnikiem tego tekstu i podlega także ocenie estetycznej. Artykuł Z. Ryna o alpinizmie solowym ilustrują fotografie niczego z alpinizmem solowym nie mające wspólnego; artykuł Parmy o jaskiniach zilustrowany został marnymi fotografiami, które niczego nie mówią o istocie trudu speleologa, przypominają zaś bardziej górnik w kopalni. Spore zastrzeżenie budzi też okraszanie tekstów fotografiami zupełnie przypadkowymi. Jaki „motyw z Zawoi” pokazał W. Kochański (s. 204)? Czym różni się monotony las pod Leskowcem (s. 173) od

Nowy tom „Wierchów”

czytelników, którzy aż pięć lat czekać musieli na kolejny tom rocznika, mają też zachwianą obecnie pozycję na rynku księgarskim. Tom za rok 1987 jak gdyby nigdy nic pojawia się w księgarniach w roku 1992 i to nawet bez słowa wyjaśnienia czy usprawiedliwienia.

Pewna część czytelników „Wierchów” bez wątpienia wypadła już z kręgu ich odbiorców. Dziś pismo to trafia do rąk nowych czytelników, wymagających i reprezentujących nowy styl myślenia. Jest to przede wszystkim generacja ludzi młodych, mniej zamożnych, aktywnych, którzy jeśli coś kupują, to i wymagają, mają zaś prawo do takiej postawy także i dlatego, że są wręcz zasypywani przez nowe czasopisma wydawane atrakcyjnie i estetycznie, o bogatej szacie graficznej i ciekawej treści. Ponadto zaś pamiętać trzeba, że „Wierchy” wchodzi w nową sytuację rynkową. Przez długie lata dobre ich samopoczucie i niezawodne powodzenie u czytelników wynikało w dużej części z braku poważnej konkurencji. Obecnie natomiast czytelnicy zainteresowani turystyką i szeroko rozumianą problematyką górską zdążyli już zaprzyjaźnić się z licznymi, dobrze, choć czasem skromnie wydawanymi periodykami o podobnej tematyce („Na Szlaku”, „Karkonosz”, „Pielgrzymy”, „Magury”, „Płaj”), a także z nowymi pismami wydawanymi już bardzo efektownie („Góry”, „Optymista”, „Bularz”). Zaletą tych pism jest i to, że potrafiły sobie zapewnić współpracę dobrych, kompetentnych autorów. Czytelnicy mają

„Wierchach” też nic się nie zmieniło, choć w ruchu wydawniczym i w sposobie redagowania czasopism tak wiele pojawiło się rzeczy nowych. Czy to dobrze, czy źle? Gdyby redaktorzy pisma utrzymali je na dotychczasowym wysokim poziomie, nie byłoby o czym mówić. Czy jednak tworzony aż przez pięć lat nowy tom „Wierchów” taki jest dobry, jak by należało tego oczekiwać? Tom 56 powinien być, jeśli nie perfekcyjny, to choćby bardzo dobry. Przez sześćdziesiąt miesięcy przygotowywano tom, który – powiedzmy to sobie szczerze – jest ciekawy, ale czytelnika w zachwyt nie wprowadzi. Niedociągnięcia zaś, co stwierdzić należy ze smutkiem, i potknięcia są tu czasami żenujące. Złośliwi chochlik drukarski czy zagapienie redakcji spiętały figla w artykule Anny Dobrzyckiej. Autorka podając osiemnastowieczne, nawiasem mówiąc, znakomite, pamiętniki Atanazego Raczyńskiego o jego podróży alpejskiej, w zakończeniu składa podziękowanie p. Józefowi Raczyńskiemu z Chile za udostępnienie unikatowego portretu Raczyńskiego malowanego przez Fuhrmanna. Daremnie jednak czytelnik szukał będzie w tekście tej ilustracji. W zamian otrzymuje zdjęcie Ewy Zarębskiej „Tatrzańskie światło”, zreprodukowane w dodatku marnie, które z artykułem Dobrzyckiej komponuje się jak, powiedzmy, „pięść z nosem”. Jest to niedopatrzenie karygodne.

Skoro jednak mowa o szacie graficznej pisma, to i jej należy się parę cierpkich uwag. Ilustracje powinny tworzyć całość z treścią artykułów, obok których zostały umieszczone, komponować się z

lasu np. pod Sobótką? Dlaczego kapitalny tekst B. Zakrzewskiego ilustruje banalna fotografia (s. 215) J. Łaskiewiczza „Pod Jałowcem”, w dodatku pokazująca coś, co znaleźć i zobaczyć można wszędzie, nie tylko pod Jałowcem? Jak komponuje się zdjęcie dębu w Sidzinie (s. 217) J. Kochańskiego z cenną informacją Jerzego Wiśniewskiego o tropsztyńskim zamku? Chodzi o to, by „Wierchy” nie były redagowane po amatorsku, by ich szata ilustracyjna tworzyła jedną ze znaczeniowych warstw periodyku. Niech więc następnym razem zrezygnuje redakcja z fotografii kiepskich i nieciekawych, bardziej dbając o jakość ilustracji i ich związek z tekstem.

Bardzo interesujący jest artykuł Marka Staffy. Koncentruje on swe rozważania wokół najtrudniejszych i najważniejszych problemów współczesnej turystyki górskiej, dając bardzo precyzyjną jej diagnozę o wysokim stopniu kompetencji. Artykuł mądry, rzetelnie wnikliwy, ujmuje najważniejsze problemy współczesnej turystyki górskiej, wiążąc takie zjawiska, jak masowe okupowanie pewnych szlaków z problemami kłęski ekologicznej, zagadnieniami bazy turystycznej i patologiami turystyki masowej. Dawno w „Wierchach” nie ukazała się praca tak ściśle związana i dająca tak dogłębną analizę najważniejszych problemów dzisiejszej turystyki. Z artykułem Staffy ciekawie koresponduje praca Z. i H. Mirków o wymieraniu flory karpacckiej: oto widać, jak konsekwencją degradacji krajobrazu i jego roli kulturowej jest degradacja przyrody. Autorzy zwracają uwagę na zagrożenia związane z faktem masowego wymierania pewnych gatunków.

Z przewodnikiem pisanym? na szlaku

Wartościowym przyczynkiem do dziejów polskiej turystyki górskiej i romantycznej kultury górskiej jest wyimek z pamiętników Atanazego Raczyńskiego o jego alpejskiej wędrowce w 1815 r. (w opracowaniu Anny Dobrzyckiej). Dotychczas nikt nie pokusił się o opracowanie sposobu widzenia Alp w polskiej kulturze romantycznej. Pamiętniki Raczyńskiego ciekawie korespondują z ujęciami Antoniego Malczewskiego, Antoniego Edwarda Odyńca, Juliusza Słowackiego czy Zygmunta Krasifskiego, dają też widzenie krajobrazu typowe dla tej epoki, bo przecież tylko wrażliwy romantyk stojąc nad przepaścią mógł skonstatować: „Jest to miejsce, w którym natura zdaje się nas odpychać. Powstaje nie dające się pojąć pragnienie, by rzucić się w przepaść, gdzie kipi i pieni się woda. Jak nędzne jest życie człowieka!”

Zdzisław Ryn, analizując różne aspekty wspinaczki samotnej, nie zapomina także o górskich tragediach z nią związanych, zwracając uwagę na zmiany w ethosie wspinaczy. Zjawiskiem charakterystycznym jest tu zanik form partnerstwa, typowych dla alpinizmu klasycznego. Równie jednak ciekawe jest tu wchodzenie przez alpinizm solowy w krąg transcendencji i mistyki gór.

Do wyróżniających się prac zaliczyć trzeba Kazimierza Przybosia „Zagadkowy gród Tustar”, dotyczący średniowiecznego zamku położonego niedaleko Truskawca. Zaświadczony w przekazach Janka z Czarnkowa i Jana Długosza, już jako ruina zamek ten był często zwiedzany przez romantycznych turystów i wszedł do romantycznej literatury.

Na osobne omówienie zasługują pomieszczone w „Wierchach” utwory literackie. „Czarna Nastka z Pręłuczno” Władysława Krygowskiego myślą także wrócić na Huculszczyznę do 1937 r. Pisze o tym dawnym świecie Krygowski z nutą sympatii i nostalgią, z jego zaś tekstu wiele się można nauczyć.

W inny świat przenoszą nas wiersze Tadeusza Sieraja. Tematyka sudecka nie zrobiła zbyt wielkiej kariery w literaturze polskiej, wiersze Sieraja zaś godne są uwagi dlatego, że wnoszą nowe, oryginalne spojrzenie na te góry.

Gorzej rzecz się ma z kronikarską częścią „Wierchów”. Pięcioletnie opóźnienie spowodowało, że liczne informacje i wiadomości zdezaktualizowały się, nie o wszystkim też warto to było pisać.

Na zakończenie pytanie: „Wierchy” są organem Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK. Czy Szanowna ta Komisja nie ma żadnego wpływu na Redakcję? Czy nie mogłaby jej zmusić do solidniejszej pracy?

Ewa Słoka

„Wierchy”. Rocznik poświęcony górrom. Organ Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK. R. 56: 1987, Wrocław-Kraków 1992, ss. 273.

Dawno, dawno temu, w okresie uważanym obecnie za wzorcowy, a więc w Drugiej Rzeczypospolitej, uczono mnie, że każdy twórca przed rozpoczęciem dzieła powinien zastanowić się, co dzieło ma przedstawiać i kto będzie jego odbiorcą. Zapewne ani autor, ani pracownicy wydawnictwa, które opublikowało „dzieło” pod tytułem „Góry Kamienne (część zachodnia) i Zawory” i w podtytuł „Przewodnik. Mapa”, nie pobierali nauk w tamtym okresie. I od razu trzeba powiedzieć, że nie jest to ani przewodnik, ani mapa.

Muszę przyznać, że bardzo pięknie brzmi zdanie o adresie tego „przewodnika”, mianowicie „szukającego na swojej drodze, nie tylko ciekawych obiektów architektury i przyrody”... Dalej to abstrakcyjna poezja. Po takim wstępie można było by spodziewać się rzetelnej informacji o tych obiektach, jednakże treść i zakres odpowiadają poziomowi dla ludzi o ograniczonym umyśle.

I tu przypomina mi się monolog sołtysa Kierdziołka, który opowiadał, jak to do Chlapkowic zjechał znany reżyser, aby kręcić historyczny film. W jednej ze scen miał pojawić się król, oczywiście na koniu. Reżyser buszował po wsi szukając tego konia, krzyczał, że musi to być ogier, ale ponieważ w całej wsi nie było takiego, trzeba było zadowolić się starą ślepą i kulawą kobyłą starego Maciaszczyka. I tak też jest z tym „przewodnikiem”.

Z treści na przykład można się dowiedzieć, że „Góry Kamienne są jednym z głównych pasm Sudetów”. Pomijam już takie dziwne rozróżnianie pasm głównych i mniej głównych, ale wystarczy popatrzeć na uczciwą mapę, aby stwierdzić, że Góry Kamienne nie są żadnym pasmem.

Dzięki PKP z dojazdami nie jest tak wesoło, jak to wynika z „przewodnika”. Ale trudno o to winić Autora. Nie wiem, kiedy Autor był w terenie, ale część informacyjna w pewnych punktach nie zgadza się ze stanem z 1991 roku. Dotyczy to również szlaku żółtego z Boguszowa. Kolor tego szlaku został zmieniony już kilka lat temu.

Są też zamieszczone niby to plany niektórych miejscowości, które właściwie są byle jakimi szkicami nie wnoszącymi żadnych informacji. Przy opisie poszczególnych tras, w większości znako-

wanych, znajduje się coś w rodzaju planów tych tras, ale według nich trudno gdziekolwiek trafić, chyba że „pod dużego chatę”, jak mawiał mój znajomy stary „góral” z nad Niemna. Ciekawostką jest pomieszczenie, nie wiadomo po co, niewyraźnych rzutów dwóch kościołów krzeszowskich, bez żadnych objaśnień. Zachodzi więc pytanie, dlaczego w takim razie nie ma rzutów innych kościołów, np. w Lubawce, Chełmsku Śląskim, czy też kościoła z górującą nad Witkowem wieżą. Dotyczy to także innych rysunków.

Do poziomu treści dostosowało się również Wydawnictwo. Zamiast panoram są szaro-czarne placki, z których nic nie można zrozumieć.

Oczywiście są też i pozytywne. Przynajmniej raz Autor przyznał, że nie jest kompetentny i przy opisie Krzeszowa odesłał swoich klientów do „Krzeszowa” Krzysztofa Mazurskiego, wydanego przez „Kraj”. Ostatecznie co fachowiec, to fachowiec. A może by tak Autor postąpił i przy innych opisach? Drugim pozytywnym jest zachęcanie do zdobywania GOT. Chociaż tu mam wątpliwości. „Przewodnik” przeznaczony jest dla turystów chcących chodzić nieznanymi ścieżkami, poza szlakami znakowanymi, a więc rekrutującymi się z doświadczonych „wyrupiarzy”, którzy albo mają już wysokie stopnie odznaki, albo nie interesują się nią zupełnie. Ale niech tam będzie.

Ponieważ zbieram różne „cymelia” dotyczące Sudetów, polecam innym zbieraczom to wypracowanie na poziomie ucznia szóstej, no, góra siódmej klasy szkoły podstawowej, któremu w dodatku pomagali rodzice nie mający pojęcia o Sudetach. Ale turysta też człowiek i jakaś rozrywka mu się należy. Do tego wszystkiego dołączona jest „mapa” o treści poniżej szkiców wydawanych w latach pięćdziesiątych.

Ze wstępu wynika, że jest to pierwsze tego rodzaju dzieło z serii „Na górskim szlaku”. Niech nas Bóg broni.

Zbigniew Garbaczewski

Piotr Jabłoński – „Góry Kamienne (część zachodnia) i Zawory. Przewodnik. Mapa”. Seria „Na górskim szlaku”. Wydawnictwo „Krajobrazy”, Wrocław 1991.

Recenzje

KROPLA DRAŻY SKAŁĘ

Przystawiając powolny proces prowadzi do wspaniałych skutków – woda drążąc wapienie, dolomit czy gips wymywa w końcu jaskinie. Nie ma ani jednej podobnej do drugiej, natura nie skąpiła swoich talentów tworząc „dziury w ziemi”. To nieprawda, że w nich tylko ciemno, zimno i mokro. Już w 1832 r., zapisując swe wrażenia w „Dzienniku podróży do Tatrów”, poeta i etnograf Seweryn Goszczyński stwierdził, po odwiedzinach w Jaskini Wodnej pod Pisaną, że wraca ze zdobyczą dla oka, dla uczuć i myśli. „W niezwykłych tylko położeniach budzi się wewnętrzne życie człowieka”.

W samych Tatrach mamy około 500 jaskiń, ale najpiękniejsza z polskich znajduje się... w Kletnie pod Śnieżnikiem (Sudety), gdyż bogactwo jej wystroju przewyższa inne sale i korytarze polskich jaskiń. Po raz pierwszy mamy okazję jednocześnie zajrzeć do jaskiń tatrzańskich i sudeckich, polskich i słowackich, do jaskiń obszarów krasowych, do jaskiń w krajach europejskich, azjatyckich i amerykańskich. Mamy też okazję po raz pierwszy podziwiać 168 fotografii ukazujących w osobnym albumie tak wspaniałe dzieła natury. Album „W jaskiniach” powstał we współpracy między polskim i słowackim wydawnictwem, jest plonem fotogra-

ficznym z kilkuset wypraw podziemnych 18 autorów. Wiele fotografii dokumentuje i przypomina osiągnięcia polskich speleologów w jaskiniach świata, w tym wielu przez nich odkrytych i zgłębnionych aż po rekordowe głębokości.

Wiele uwagi poświęcili autorzy jaskiniom dostępnym dla zwiedzających po obu stronach Tatr i w Słowackim Krasie. Krótkie opisy i fragmenty wnętrza zachęcają. Tam, skąd nie widać gwiazd, istnieje życie w formach, jakich nie można znaleźć pod słońcem. Oprócz tego na końcu znajdziemy w albumie wykaz jaskiń i obszarów krasowych.

Kto miał w ręku słowacki album „Jaskynie i jaskyniaři”, wydany w 1987 r., zauważy, że polska edycja jest znacznie zmieniona. Wymieniono wiele fotografii w taki sposób, aby uwypuklić osiągnięcia polskich speleologów i grotolazów. A przecież wiadomo, że znaczne osiągnięcia w tej dziedzinie mają entuzjaści taternictwa jaskiniowego z Wrocławia, zarówno przed laty, jak i odniesionych całkiem niedawno sukcesów. Polacy wiele razy bili rekordy zgłębiania jaskiń w Europie, liczne z nich odkryli, wiele wypraw podjęło pionierski trud na kontynencie amerykańskim.

Dziś człowiek wykorzystuje jaskinie na

miarę swoich czasów. Dawniej były one miejscem kultu religijnego i obrzędów. Jak podają mity i legendy, w jaskini urodził się Zeus i Budda, dla archeologów są to przystawione kopalnie wiadomości o historii człowieka. Obecnie w jaskiniach można spotkać całe procesje turystów, wysłuchać koncertu, zjeść obiad i wjechać do jej wnętrza kolejką elektryczną, podziwiać kolorowe podświetlone girlandy i inne formy naciekowe, ale są także w jaskiniach składowiska odpadów naszej cywilizacji i sanatoria. Kryją też w sobie wiele jeszcze tajemnic.

Polskie jaskinie w Tatrach, Sudetach, Górach Świętokrzyskich czy na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej mają swoich entuzjastów. Warto, aby jak najdłużej były okazją do wzruszeń i radości z podziemnych odkryć.

Tomasz Kowalik

Bohuslav Kortman, Christian Parma: „W jaskiniach” (fotografie 18 autorów, tekst w 4 językach). Wydawnictwo „Sport i Turystyka”: Warszawa i Vydavatelstvo Osveta. Martin (Czechy i Słowacja), 1991, ss. 144, ceny brak.

Zupełnie niespodziewanie pod koniec roku na rynku wydawniczym pokazał się numer nadzwyczajny nowego periodyku „Ziemia Orawska” pod red. Jerzego Iwanowskiego. Wydany został, jak czytamy w stopce, przez bliżej nieokreślonych „miłośników regionu podbabiogórskiego i twórców ludowych”. W podtytule wymieniono wszystkie wsie orawskie po pol-

„Hołd rodzinnej ziemi”, stanowiący przegląd dorobku pisarzy orawskich, i Józefa Pieroga „W kulturze ogromne dziedzictwo”, poświęcony zespołom folklorystycznym na Orawie.

Nadto w numerze przedruk orawskiego kalendarium Karola Wojtyły, trochę o twórczości Stanisława Wyrtyla z Zubrzyca Górnej, wybijającego się ostatnio

Redakcję. No cóż, każde początki są trudne. Sporo w numerze wierszy miejscowych twórców, złotych myśli Piotra Borowego i artykułików – komunikatów, w tym jeden znaczący A. Śmiecha, na który należy zwrócić baczniejszą uwagę.

A zatem nadszedł czas, aby i Orawa miała swoje pismo regionalne? Czy nie będzie swoim charakterem dublować się z „Orawą” – periodykiem Towarzystwa Przyjaciół Orawy? Może jednak nie będzie aż tak źle, a uzupełni inne tytuły podejmujące również tematykę orawską: „Podhalańkę”, „Hale i Dziedziny”, „Wierchy” i, niestety, usychające już „Prace Babiogórskie”.

Z zainteresowaniem poczekamy na następne numery, Redakcji zaś pozostaje życzyć wytrwałości i powodzenia. Czytelnikom podaję, że punktem sprzedaży uwidocznionym w stopce jest księgarnia w Jabłonce, ale, jak znam życie, publikację będzie można kupić również w innych miejscach Orawy.

Ryszard M. Remiszewski

„Ziemia Orawska”, 1991, Nr nadzwyczajny, ss. 50, format 24,5 x 17 cm, cena niewidoczona.

ZIEMIA ORAWSKA Nowe pismo regionalne?

skiej stronie granicy i określono pory roku 1991 od wiosny do zimy, wiele tym samym wyjaśniając.

Numer jest ilustrowany, dość dobrze zredagowany, zachęcająco zapowiadając się na przyszłość. W słowie wstępnym od redaktora znajdujemy wyjaśnienie celu wydania pisma. Stało się to przede wszystkim rezultatem postanowienia zawartego w uchwale I Sejmiku Kultury Orawskiej, który obradował w październiku 1988 r. w Jabłonce.

W numerze zwracają uwagę dwa artykuły problemowe: Emila Kowalczyka

malarza na szkle, notka o czterdziestolecu gimnazjum w Jabłonce, nie podpisany artykuł o poszukiwaniach sztandaru pułkowego Strzelców Podhalańskich, dobry niewielki tekst Franciszka Kotta o kościele w Orawce, odpuście i święcie pasterskim oraz przedruk ze „Światowida” (1932) artykułu Jana Lankaua o Piotrze Borowym, z doskonałymi archiwalnymi zdjęciami.

Na koniec numeru jeszcze jeden przedruk z książki Apoloniusza Zawilskiego „Bitwy Polskiego Września”, poświęcony obronie pod Wysoką. Niestety, przedruki te, nic nim nie umniejszając, świadczą chyba o braku wyboru tekstów przez

Przehyba już zaprasza turystów



„Jaškówka” (maj 1992). Foto: Andrzej Matuszczyk

Są miejsca w Beskidach, których żaden kataklizm nie jest w stanie wymazać nie tylko ze świadomości górskich turystów, ale i służenia im gościnną, noclegiem, posiłkiem. Bez wątplenia należy do nich Przehyba.

Dopiero całkiem niedawno pisałem o pożarze jednego z najładniejszych karpackich schronisk („Na Szlaku” nr 3/92), a szczegółowy przebieg tragedii nawet nie zdążył się znaleźć na łamach naszego mie-

sięcznika. Tymczasem w niecałe pół roku od fatalnej daty (17.12.1991 r.) otrzymuję od państwa Bielaków wieści nie tylko krzepiące, ale godne najwyższego podziwu.

W ciągu pierwszych pięciu miesięcy bieżącego roku uruchomiony został obok ruin dom noclegowy „Jaškówka” z 30 miejscami w pokojach 2–7-osobowych. Funkcjonuje także bufet „U Oli” z napojami, słodyczami i wydawnictwami, a co

ważniejsze – ruszyła pełna gastronomia. Równoległe dobiegają końca roboty porządkowo-wyburzeniowe w starym budynku schroniska. Usunięto pozostałości zniszczonych ścian, stropów, kominów.

Miłośnicy Przehyby wpłacili na konto jej odbudowy 40 mln zł. Tartak w Starym Sączu gromadzi drewno na rozpoczęcie prac budowlanych, których przebieg i tempo będzie zależało od dalszej ilości środków przekazanych przez instytucje, organizacje i indywidualnych ofiarodawców.

Istotnym problemem niezmodernizowanych gospodarzy Przehyby pozostaje do tej pory brak telefonu. To nie tylko kwestia bezpieczeństwa, ale i potrzeby łączności z odradzającym się schroniskiem, do którego coraz tłumniej garną się turyści. Apeluję więc i ja z tych łamów do władz wojewódzkich Nowego Sącza i odpowiednich służb telekomunikacyjnych – niezwłocznie pomóżcie Przehybie!!!

Ofiarodawcom przypominam numer konta: Bank Przemysłowo-Handlowy, Oddział w Nowym Sączu nr 324803-678-132-2 z dopiskiem „Odbudowa Przehyby”. Turystów zaś zapraszam w gościnne progi „Jaškówki”.

Andrzej Matuszczyk



Bufet „U Oli” (maj 1992). Foto: Andrzej Matuszczyk

W Polsce istnieje spore, choć formalnie nie zorganizowane, środowisko miłośników i badaczy cmentarzy wojennych z czasów I wojny światowej. Z myślą o nich i tych czytelnikach, którzy nie zlekceżyli się jeszcze z tą problematyką, chciałbym rozszerzyć zagadnienia podjęte pobieżnie i z licznymi błędami przez Janusza Kopia w numerze 4/34 „Na Szlaku”.

378 cmentarzy wojskowych. Działania wojenne w Galicji Zachodniej toczyły się od jesieni 1914 do maja 1915 r., swoje apogeum osiągając w czasie Operacji Gorlickiej na początku maja 1915 r. Kilku dziesięcioma tysiącami poległych z obydwu walczących stron zajął się krakowski Urząd Opieki nad Grobami Wojennymi (Kriegsgräberabteilung). W tej fachowo

sekcji Kriegsgräberabteilung zajmowało się ewidencją poległych, porządkowaniem pobojuwisk, ekshumacją i grzebaniem, projektowaniem i budową cmentarzy, idea Brocha nabrała rumieńców dopiero po Operacji Gorlickiej i ustabilizowaniu się frontu daleko na wschodzie. Cały obszar walk, podległy krakowskiemu dowództwu korpusu I „Galicja Zachod-

O cmentarzach wojennych raz jeszcze

Działania wojenne I wojny światowej na ziemiach polskich trwały zaledwie czternaście miesięcy, ale przyniosły ogromne straty: w armiach trzech zaborczych państw poległo około pół miliona żołnierzy narodowości polskiej, a straty materialne oszacowano na ok. 75 mld złotych franków. Przetaczający się ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód „walec parowy” frontu pozostawił po sobie ogromne zniszczenia i setki cmentarzy wojennych. Ich koncentracja nastąpiła w miejscach większych bitew i operacji wschodniego teatru działań wojennych: na Mazurach, w rejonie Łodzi, Brzezin, Łowicza, na Kielecczyźnie, Lubelszczyźnie, a największą ich ilość notuje się w Karpatach i na Pogórzu.

Podpisany w Wersalu traktat pokojowy nałożył na państwa biorące udział w wojnie obowiązek opieki nad pozostałymi na ich terenie grobami i cmentarzami wojennymi, bez względu na to, jakiej narodowości żołnierze zostali w tych grobach pochowani. Lata II wojny światowej i hekatomba ofiar pogrzebanych w setkach mogił, zatarła ślady i cmentarze tej pierwszej, zwanej często „wielką”.

Nie jest znana dokładna liczba zachowanych cmentarzy. Przeprowadzony w 1970 r. spis cmentarzy, kwater i mogił ustalił na terenie Polski 725 takich miejsc pochówku, w tym 449 cmentarzy samodzielnych, 217 kwater i grobów na cmentarzach wyznaniowych oraz 50 grobów pojedynczych, usytuowanych poza cmentarzami.

Ewenementem, i to na skalę europejską, stała się koncepcja zagospodarowania pobojuwiska Galicji Zachodniej – między Rabą a Wisłoką, gdzie w latach 1915–1918 w sposób planowy wzniesiono

zorganizowanej jednostce armii austro-węgierskiej służyło wielu wybitnych artystów: 8 architektów (Ladewig, Ludwig, Motka, Stark, Szczepkowski, Mayr, Jurkovič, Rossmann), 2 budowniczych (Klusk, Prossinger), 5 rzeźbiarzy (Jäger, Watzal, Mazura, Glassner, Scholz), 23 malarzy (m.in. Karpiński, Uziembło, Poledne, Kašpar, Klimowski). Całością kierował mjr Rudolf Broch, mając do pomocy dwóch oficerów koncepcyjnych: kpt. dra Ludwiga Brixela i kpt. Hansa Hauptmanna.

Do dziś dnia badaczy tematu nurtuje pytanie: dlaczego akurat w Galicji Zachodniej cmentarnictwo wojenne uniosło się na wyżyny sztuki? Chyba tylko osobie Brocha i jego „idee fixe” należy to wszystko zawdzięczyć. Choć już w 1914 r. przy krakowskim dowództwie korpusu 12

„”, podzielono na 10 okręgów cmentarnych (Kriegsgräberbezirk): I żmigrodzki (31 cmentarzy), II jasielski (31), III gorlicki (54), IV łuzniański (27), V pilzneński (26), VI tarnowski (62), VII dąbrowski (15), VIII brzeski (50), IX bocheński (40), X limanowski (25) oraz teren Twierdzy Kraków (22 cmentarze). Poza tymi okręgami znalazło się 17 cmentarzy w kompetencji komend rejonowych w Nowym Targu i Myślenicach. Do dyspozycji Kriegsgräberabteilung Krakau miał m.in. biuro projektowe, 3 kamieniołomy, 3 tartaki, warsztat konstrukcyjny w Morawskiej Ostrawie i 4 fabryki produkujące kute i odlewane elementy wyposażenia, w tym krzyże.

Do budowy cmentarzy zużyto dziesiątki tysięcy ton kamienia, piasku, drewna. Posadzono tysiące sadzonek drzew i



krzewów ozdobnych. Samej trawy wysiano... 2,5 tony! Broch obliczył, że w warunkach pokojowych przedsięwzięcie to kosztowałoby ok. 50 mln koron austriackich w złocie. Większość materiałów, gruntów i funduszy pochodziła z darowizn, sam Kriegsgräberabteilung rozwinął olbrzymią akcję propagandową: drukowano i sprzedawano „cegiełki”, pocztówki, mapki, medale, odznaki... Wśród projektantów propagandowych pocztówek widnieje nawet Wojciech Kossak.

Nie należy zapominać także o tym, że trwała wojna i dysponowano darmową siłą roboczą jeńców i żołnierzy. Wykorzystywano zwłaszcza Włochów do prac kamieniarskich i Rosjan do ciesielskich.

Na czele każdego z dziesięciu okręgów cmentarnych stał artysta-projektant, dlatego – w zależności od upodobań projektantów – każdy z okręgów nosi swoiste „piętno”. Wszystkie jednak cmentarze posiadają cechy wspólne: na ogół lokalizowano je na wzgórzach lub stokach; przy drodze dojściowej ustawiano betonowy drogowskaz z napisem: „Kriegerfriedhof – Cmentarz wojskowy nr... Droga – Zugang”. W kompozycji wszystkich cmentarzy wyróżnić można kilka stałych elementów: wieżę, kaplicę, krzyż lub obelisk – jako element centralny; reprezentacyjną bramę; ogrodzenie; krzyże lub stele betonowe. Plany cmentarzy oparte były na ogół o regularne figury geometryczne lub dostosowane do kształtu terenu (np. Pustki i Wałachy). W każdym z okręgów był przynajmniej jeden reprezentacyjny cmentarz.

Chciałbym wskazać najciekawsze z nich, a zwłaszcza projektowane przez Dušana Jurkoviča. Był on architektem słowackim, a nie serbskim czy jugosłowiańskim, jak piszą niektórzy. Urodził się w 1869 r. na pograniczu słowacko-morawskim w miejscowości Turá Luká, w rodzinie o bogatych tradycjach narodowych. Jurkovič stał się tym dla architektury słowackiej, czym dla nas Witkiewicz – twórca „stylu zakopiańskiego”. Będąc kierownikiem I okręgu cmentarnego, wykorzystywał on inspiracje architekturą ludową Moraw i Słowacji w budowie cmentarzy – zwłaszcza tych drewnianych. Nie przypadkiem nazywa się go „poetą drewna”, bo też w jego kapliczkach i krzyżach przebiega znajoma nutka z Podhala, Orawy, Beskidu...

Do najciekawszych cmentarzy Jurkoviča należy Rotunda – nr 51. Pięć ory-



Przełęcz Małastowska. Kaplica na cmentarzu nr 60, proj. Dušana Jurkoviča
Foto: Edward Wleczorek

ginalnych wież piętnastometrowej wysokości umieścił na szczycie góry. Wokół wież promieniście ułożone są groby pojedyncze i zbiorowe, tak austro-węgierskie, jak i rosyjskie. Dziś zostały tylko cztery wieże, a i te chylą się ku upadkowi, chociaż Rotunda, jako pierwszy z cmentarzy, została wpisana w 1980 r. do rejestru zabytków.

Interesujący cmentarz wznosił Jurkovič nad Krempaną koło Żmigrodu. Sześć murowanych, kilkumetrowych podpór podtrzymuje betonowy krąg pokryty wielkimi metalowymi liśćmi dębu. Cmentarz był już w ostatnich latach bardzo zdewastowany, ale staraniem grupy sympatyków oraz Ambasady Austrii i Austriackiego Czarnego Krzyża (odpowiednik ZBOWiDu) w roku ub. wyremontowano i zrekonstruowano cmentarz. Co ciekawsze – brała w tym udział jednostka wojskowa z Gratzu, której żołnierze leżą pochowani w Krempanej.

Godny obejrzenia jest cmentarz nr 46 na Beskidku nad Konieczną. Zbudowany na planie łacińskiego krzyża dominował nad okolicą osiemnastometrową wieżą. Dziś las już przewyższył ją (niezle zachowaną) i dokonał spustoszenia wśród drewnianych krzyży. Większość z nich – z powodu utrzymującej się w poszyciu wilgoci – po prostu zgniła.

Los oszczędził piękne dzieło Jurkoviča na Przeł. Małastowskiej (cmentarz

nr 60). Konserwowany systematycznie od kilku lat, cieszy oko turystów wędrujących niebieskim szlakiem z przełęczy do Banicy. Wewnątrz dwunastoboku wznosi się ciekawa ściana ołtarzowa – kaplica, z kopią obrazu MB Częstochowskiej pędzla kpr. Adolfa Kašpara i inskrypcją w języku niemieckim (tłum.):

*Pomnij przechodniu wchodząc w to
obejście,
Że ziemia setki poległych tu grzebie,
Co młode życie oddali w potrzebie,
By nam zapewnić dziś wolność i szczęście.*

Ma to stanowić dla nas zwiedzających memento, a zarazem stanowi dowód na – ostatnie chyba w dziejach wojen – rycerskie gesty wobec poległego i pokonanego przeciwnika. W równych szeregach pochowano obok siebie żołnierzy obydwu walczących stron: „walczyli pierś przeciwko piersi, zmartwychwstaną ramię przy ramieniu” – jak głosi jeden z napisów na cmentarzu w Krempanej. Dziś, w czasach dewastacji grobów innych religii, ba, współwyznawców, taki gest szacunku dla przeciwnika wydaje się niepojęty.

Wiele monumentalnych kwater wojennych znajduje się na cmentarzach parafialnych, jak choćby w Nowym Sączu, Ciężkowicach, Żmigrodzie, Limanowej. Wiele betonowych budowli góruje nad szosami, którymi nieraz przejeżdżamy: nad Sękową, Brzostkiem, w Smerkowcu, Uściu Gorlickim, Szymbarku, Limanowej-Jabłońcu, ale jest też mnóstwo cmentarzy, których lokalizacja możliwa jest tylko przy pomocy dokładnej mapy topograficznej: Blechnarka, Wysoła, Magura Małastowska, Banica, Przysłop, Regietów Wyżni. Las bezlitośnie wchłania ich resztki i niedługo pozostaną po nich tylko nazwy.

Cmentarze wojenne wypadły ze świadomości społeczeństwa, które żyje dziś innymi problemami, trzeba jednak sprawę cmentarzy przywrócić do tej świadomości na powrót. „Ojczyzna to groby i ludzie. Narody tracąc pamięć, tracą życie”. Oby te słowa wyryte u wejścia na Pęksów Brzyzek nigdy się nie spełniły.

Edward Wleczorek



Na szlaku

z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

Turyści przemierzający tego lata szlaki turystyczne mogą w niektórych regionach kraju natknąć się na nowe, nieznanne sobie znaki, a ściślej – drogowskazy. Otóż na niektórych drogowskazach, na kolorowym pasku na grocie, umieszczone zostały tajemnicze oznaczenia literowo-cyfrowe złożone z

NOWE OZNAKOWANIE NA SZLAKACH TURYSTYCZNYCH

liter E i cyfry 3, 8 lub 9. Co one oznaczają i których szlaków dotyczą? Czytelnicy „Na Szlaku” wiedzą już, że PTTK stało się członkiem Europejskiego Związku Wędrownictwa i że dawny Międzynarodowy Górski Szlak Przyjaźni Eisenach–Budapeszt został przekształcony w odcinek długodystansowego szlaku tej organizacji, który łączy Atlantyk z Morzem Czarnym. Jest to europejski szlak E 3. Stąd właśnie ten numer na drogowskazach odcinka sudeckiego i karpackiego. Oznakowanie to zastępuje dawne specjalne drogowskazy MGSP E-B.

Nie jest to jedyny europejski szlak na terenie Polski, bowiem 30 maja na przejściu granicznym Świnoujście–Ahlbeck miało miejsce otwarcie polskiego odcinka kolejnego długodystansowego szlaku EWW. Powstał zupełnie nowy szlak, który po całkowitej realizacji ma prowadzić z Bayonne nad Zatoką Biskajską we Francji, wzdłuż wybrzeża Atlantyku na północ, a następnie wybrzeżem francuskim Kanału La Manche i wybrzeżem Morza Północnego w Belgii, Holandii i Niemczech. W Niemczech też dociera nad Bałtyk i od Świnoujścia wiedzie naszym wybrzeżem do Braniewa. Nosi on numer E 9 i w Polsce liczy aż 542 km.

Równocześnie z otwarciem E 9, także w Świnoujściu, w obecności prezydenta EWW dr. Roberta Wursta z Wiednia oraz delegacji Verband Deutscher Gebirgs- and Wandervere-

ine pod przewodnictwem Franka Schlinziga z Hamburga, przy udziale przedstawicieli PTTK, dokonano symbolicznego otwarcia polskiego odcinka kolejnego długodystansowego szlaku E 8 prowadzącego z Amsterdamu doliną Renu i Menu w Niemczech, a dalej doliną Dunaju przez Niemcy i Austrię

do Bratysławy. Od Bratysławy szlak E 8 prowadzi na Przeł. Dukielską czerwonym szlakiem Powstania Słowackiego. Odcinek słowacki został uruchomiony w ub. roku. W tym roku w Świnoujściu oficjalnie oddano do użytku polski odcinek od Przeł. Dukielskiej do Przeł. Beskid. Liczy on około 200 km i prawie w całości pokrywa się z Głównym Szlakiem Beskidzkim na jego wschodniej części. W przyszłości oba polskie odcinki mogą być przedłużone na wschód. Szczególnie atrakcyjnie rysuje się to w Bieszczadach, czemu może pomóc projekt utworzenia tu międzynarodowego (wspólnego) parku narodowego.

I właśnie na tych trzech międzynarodowych szlakach następuje sukcesywna wymiana drogowskazów na nowe z oznakowaniem numeru trasy europejskiej. Jedynie jednak E 9 powinien być w nie wyposażony na całej długości. Na trasach E 3 i E 8 nastąpi to w czasie najbliższych dwóch–trzech lat, zgodnie z harmonogramem normalnych prac znakarskich. Poza drogowskazami szlaki europejskie nie mają innego wyróżnika i nie są specjalnie znakowane. Jedynie na przejściach granicznych (początek i koniec każdego odcinka) umieszczane są wielojęzyczne tablice informacyjne o każdym ze szlaków. Wędrowanie tymi szlakami nie wymaga też spełniania żadnych regulaminowych lub organizacyjnych wymogów.

„Oddział Wrocławski PTTK” zaprasza na rajdy:

9 Jesienny Rajd Górski „Wrzesień w Sudetach” w Górach Bardzkich i Żłotyach w terminie 17–20.09.92.

Na rajdzie przewidzianych jest 5 tras (od cztero- do jednodniowej) w cenie wpisowego od 250 000,- do 50 000,- zł (dla członków PTTK udzielamy zniżki). Trasy rajdu będą rzadziej uczęszczanymi, pięknymi szlakami Sudetów. Noclegi przewidziano w Złotym Stoku, Łądku Zdroju, Orłowcu. Termin zgłoszeń 4.09.92.

37 Ogólnopolski Rajd w Górach Białskich w terminie 13–17.10.92.

Na 9 trasach rajdowych przewidziano zwiedzanie najciekawszych szlaków, miejsc i obiektów w Górach Białskich i Masywie Śnieżnika. Na większości tras noclegi przewidziano w łózkach w Międzygórzu, Bolesławowie, Łądku Zdroju, Bielicach, schronisku „Pod Śnieżnikiem”. Są też trasy dla „zahartowanych” z noclegami w stodołach na sianie w Nowym Gierałtowie i Nowej Morawie oraz dla „wygodnych” z wyżywieniem. Ceny wpisowego na rajd, w zależności od warunków, w wysokości 250 000,- do 75 000,- zł (dla członków PTTK udzielamy zniżki). Termin zgłoszeń 26.09.92.

Dokładnych informacji o obu rajdach udziela:

Biuro Zarządu
Oddziału Wrocławskiego PTTK
Rynek-Ratusz 11/12, III piętro
50-106 Wrocław,
tel. 303-44, 330-44

codziennie z wyjątkiem sobót i niedziel w godz. 8.00–18.00. Osobom lub instytucjom zainteresowanym wysyłamy plakaty rajdu pocztą.

SPROSTOWANIE

W num. 6 „Na Szlaku” w artykule *Tabela Ostrowiecka – odwołana!* podaliśmy błędnie nazwisko dr. inż. Zenona Szymankiewicza, za co przepraszamy zainteresowanego i Czytelników.

Czy początek nowego okresu?

TURYSTYKA W PARKACH NARODOWYCH

Różne były zastrzeżenia do ministrów w b. gabinecie Jana Olszewskiego, ale nikt nie ma wątpliwości, iż prof. Stefan Kozłowski, pełniący w nim funkcję ministra Ochrony Środowiska, Leśnictwa i Zasadników Naturalnych, był człowiekiem akurat na właściwym miejscu. Wystarczy przeczytać jego ostatnią książkę *Środowisko przyrodnicze a gospodarka*, by zrozumieć, iż jest to nie tylko znawca problemu, ale i osoba mająca konkretną wizję realizacji rozległego programu, który nazwano hasłowo EKOPOLITYKA. Takim właśnie nowym duchem powiało 30 kwietnia br., gdy na roboczą naradę zwołaną w wymienionym Ministerstwie stawili się przedstawiciele PTTK, PZA, Towarzystwa Tatrzńskiego i kilku dyrekcji parków narodowych oraz krajobrazowych. Spotkaniu przewodniczyli: sam minister i jego I zastępca, Jan Komornicki. Ta druga postać jest znana w kręgu miłośników gór. Przypominamy tylko, iż był on działaczem PTTK i sporo lat Naczelnikiem GOPR. Jego właśnie osoba jest swoistym znamieniem nowego podejścia do problemów ochrony środowiska. Komornicki został oto 30 marca powołany na stanowisko Głównego Konserwatora Przyrody przez samego premiera, nie może być więc zmieniany zbyt pochopnie i dowolnie. Może więc prowadzić bardziej zdecydowaną, nieustępliwą politykę w swoim zakresie służbowym. Z ramienia PTTK obecni byli: wiceprezes Edward Kudelski, Sekretarz Generalny Wojciech Redzej, członek Prezydium ZG Tadeusz Syryjczyk, członek ZG Krzysztof R. Mazurski i przewodniczący KTN Zbigniew Siudak. Łącznie stawilo się około 20 osób.

Co było przedmiotem narady? Dwie rzeczy: po pierwsze, zmienić stosunki między Ministerstwem i „ochroniarzami” zawodowymi a organizacjami turystycznymi z antagonistycznymi na partnerskie, po drugie, przedyskutować problemy turystyki na obszarach chronionych w aspekcie szkodliwych i obowiązujących już przepisów ochronnych. Niewątpliwie taka postawa nowego kierownictwa resortu musi cieszyć, czemu zresztą wyraz dali obecni. Słusznie podkreślił min. Kozłowski, iż w nowej sytuacji w kraju jako jedyna możliwość istnieje wyłącznie współpraca, gdyż wymaga tego dobro publiczne. Dlatego też postulował zdecydowanie poszerzenie zaplecza społecznego wokół parków narodowych i krajobrazowych o przedstawicieli samorządów terytorialnych, towarzystw i organizacji. Dyskutanci, popierając taką ideę, wyraźnie podkreślali konieczność zachowania wyraźnego naukowego profilu Rad Naukowych (zgodnie z nazwą) parków, z tworzeniem Rad Społecznych, w których różne gremia, zainteresowane różnymi obszarami chronionymi, mogłyby artykułować swoje postulaty i potrzeby. Sporo uwagi zajął problem wprowadzenia opłat za wstęp do parków narodowych. Obaj ministrowie byli za powszechnym obowiązkiem uiszczania ich. Ale, choć powoływali się na ustawę, to mówi ona jedynie o możliwości, a nie konieczności wprowadzania opłat. Padały różne propozycje, np. by dotyczyły one jedynie wycieczek zbiorowych, by wyłączono z tego kadre (w jakimś ustalonym zakresie) PTTK i innych organizacji. Odpowiedź była kategorycznie negatywna, ale z podkreśleniem, że szczególnie rozwiązania należą do kompetencji poszczególnych dyrektorów, z którymi organizacje mogą negocjować warunki przebywania na terenie Parku. Uwaga Zarząd Główny: ostro do negocjacji! Ministerstwo oczekuje, że sprawy te zostaną rozwiązane do 30 maja w ramach porozumień z nim oraz poszczególnymi parkami. Wyjaśniono, że zapis ustawowy o przejściu odpowiedzialności za ruch turystyczny na terenie

parków przez ich dyrektorów nie oznacza wcale przejścia przez nie działalności turystycznej. Właśnie w ramach owych porozumień dyrekcje PN i PK mogą upoważnić lub zlecić odpowiednim organizacjom tego typu przedsięwzięcia. Rysuje się możliwość uregulowania wreszcie spraw własnościowych PTTK w Tatrach – dobra wola została okazana przez wszystkie strony.

Najwięcej kłopotów ma Tatrzński PN, ale dyr. Byrczyn poinformował, że już od dwóch lat nie korzysta z państwowych subwencji. Duży wpływ dały tu właśnie krytykowane powszechnie przez turystów opłaty, ale też przewiduje ich korekty. Mimo najlepszych chęci nie może za te środki wyremontować wszystkich dróg i ścieżek w Parku i bez pomocy z zewnątrz nie jest w stanie tego zrobić. Sama Orla Perć, by tylko doprowadzić ją do jako takiego stanu, wymaga rocznie 800 mln zł przez kilka najbliższych lat! Wpuści się natomiast rajdy narciarskie, ale po wcześniejszym zgłoszeniu dokładnego przebiegu tras dla uniknięcia zakłóceń życia przyrody w określonych miejscach. Narzekano powszechnie na niezdyscyplinowanych wspinaczy, zwłaszcza na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej. Resort i jego służby będą zdecydowanie temu przeciwdziałać, także przeciwko nieliczącym się z niczym wspinaczom skałkowym z

Niemiec, rozkuwającym Góry Stołowe. Podstawą tego ma się jednak stać wprawdzie wypracowane porozumienie z PZA, określające ściśle zasady penetracji wspinaczkowych i obowiązków stron. Zgłoszono wzbudzenie dolnośląskich „ochroniarzy” zgodą Ministerstwa na program rozległej rozbudowy infrastruktury narciarskiej w rejonie Szrenicy i Łabskiego Kotta, postulowanej przez władze Szklarskiej Poręby pod naciskiem austriackich inwestorów (por. czwarty numer „Na Szlaku”). Min. Kozłowski odparł, iż reakcja taka jest nieuzasadniona i czas skończyć z bezwzględą, ślepa ochroną pewnych obszarów na rzecz konkretnego, racjonalnego ich użytkowania w celach gospodarczych. Zapowiedziano też utworzenie trzech (jak dobrze pójdzie) parków narodowych w br., jako pierwszego – Magurskiego. Wreszcie obiecano też solennie kierowanie projektów wszystkich przepisów do zainteresowanych instytucji i organizacji, co może tylko cieszyć. Oby tak dalej!

W sumie spotkanie było udane, ale zarazem zapoczątkowało stałe kontakty tego typu z towarzystwami i organizacjami. Wypada teraz iść za ciosem, jak mówią bokserzy – nie po to, by znokautować Ministerstwo, ale by jak najszybciej wspólnie obalić przeszkody istniejące w sensownym uprawianiu turystyki na obszarach chronionych.

K. R. M.

OŚRODEK EDUKACJI EKOLOGICZNEJ

Placówka programowa PTTK

pod opieką Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie
31-026 Kraków, ul. Radziwiłłowska 21/4, tel. 21-64-60 (d. adres: ul. Westerplatte 5)

OŚRODEK EDUKACJI EKOLOGICZNEJ jest nową (od 1.01.92 r.) formą działalności istniejącej w Krakowie od 1974 r. Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Oddziału Akademickiego PTTK na rzecz popularyzacji problematyki ekologicznej.

Utworzenie O.E.E. jest wynikiem inicjatywy i pomocy ze strony Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie, chcącego efektywniej wykorzystać prowadzoną od wielu lat przez RPK działalność proekologiczną oraz stworzyć dla niej nowe, szersze możliwości.

Podstawowym zadaniem OŚRODKA EDUKACJI EKOLOGICZNEJ będzie dalsze gromadzenie i uprzyśtuwanie nieodpłatnie zbiorów własnych, złożonych z krajowych i zagranicznych książek i czasopism, raportów, aktów prawnych, wycinków prasowych oraz innych druków i materiałów pisanych, a ponadto przeźroczy i filmów video oraz innych materiałów ilustracyjnych.

Inne zadania OŚRODKA to działalność wydawnicza, dokumentacyjno-fotograficzna, odczytowa (głównie w szkołach) oraz organizacja szkoleń.

Wzbogacanie zbiorów odbywa się przez zakup, dzięki darowiznom, wymianie z krajowymi i zagranicznymi placówkami i instytucjami zajmującymi się problematyką ekologiczną, a także drogą wykonywania we własnym zakresie różnych opracowań, zestawów przeźroczy oraz kopiowania filmów pochodzących z różnych źródeł.

Zbiory O.E.E. były i będą nadal tworzone głównie pod kątem pozyskiwania pozycji prezentujących dobry poziom fachowy, ale przystępnych także dla osób bez specjalistycznego wykształcenia, związanego z szeroko rozumianą problematyką ekologiczną.

Ambicją i zadaniem OŚRODKA jest pomoc w zdobywaniu podstawowej wiedzy o środowisku i jego zagrożeniach. Takie są potrzeby większości dotychczasowych i zapewne również przyszłych klientów: uczniów i nauczycieli szkół wszystkich typów i stopni oraz studentów nieekologicznych kierunków, pragnących poszerzyć swą wiedzę o te zagadnienia. Ale ze zbiorów OEE, zwłaszcza zagranicznych, korzystają również fachowcy.

Krajoznawcza proweniencja Ośrodka jest przyczyną szczególnego zainteresowania problematyką obszarów chronionych prawem i konserwatorską ochroną przyrody, zwłaszcza w regionie krakowskim.

Ekologizacja działalności placówki nie oznacza odejścia od krajoznawstwa i turystyki, gdyż te dziedziny stworzyły ochroniarzską działalność, a związany z RPK-OEE aktyw ochroniarski, to głównie turyści.

Wymyśloną na pocz. XX w. przez krajoznawców „ochronę swojszczyzny” świat dziś określa prawnym terminem OCHRONY DZIEDZICTWA KULTURALNEGO I NATURALNEGO LUDZKOŚCI.

Zapraszamy

NA SZLAKU 7-8/37-38 STR 15

Po raz pierwszy 12 grudnia 1991 r. w siedzibie Banku Światowego w Waszyngtonie podpisana została umowa o udzieleniu Polsce pomocy z konta nowo utworzonego Funduszu Ochrony Globalnego Środowiska Naturalnego (GEF). Pomoc ta przeznaczona będzie w wysokości 4,5 mln dolarów na ochronę bo-

odtworzone z materiału o najwyższym standardzie jakości biologicznej.

Podobne problemy zauważane są także w rejonach wschodnich, dotyczą m.in. Puszczy Białowieskiej, która powinna być chroniona w całości, po obydwu stronach granicy państwowej między Polską a Białorusią. Na ten cel przeznaczone

funduszy przeznaczona zostanie na wspieranie rolnictwa ekologicznego w rejonie Puszczy Białowieskiej. Jest to zbieżne z dotychczas prowadzonymi pracami i zapoczątkowanym już rolnictwem ekologicznym w ramach programu Zielone Płuca Polski.

Fundusz składa się obecnie z 1,4

Na pomoc sudeckim lasom

gactwa biosfery dwóch zagrożonych ekosystemów leśnych – Sudetów i Puszczy Białowieskiej.

Fundusz utworzony zostanie ze środków przeznaczonych przez rządy Stanów Zjednoczonych, Japonii, Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii w celu udzielania pomocy bezzwrotnej krajom, w których problemy ochrony środowiska wykraczają poza ich granice i stają się kłopotami międzynarodowymi w skali kuli ziemskiej. Fundusz jest sponsorowany przez Bank Światowy, Program Ochrony Środowiska ONZ i Program Rozwoju ONZ i ma wspierać wysiłki państw zmierzające do przeciwdziałania zjawiskom ocieplania klimatu w skali globu oraz uszczuplaniu powłoki ozonowej Ziemi.

O znaczeniu pomocy udzielonej Polsce świadczy fakt, że przyznana kwota adresowana jest na potrzeby właśnie Sudetów i Puszczy Białowieskiej. Oczywiście wiemy, że znaczenie każdego z tych ekosystemów jest odmienne, lecz problemy ich są istotne dla całokształtu sytuacji ekologicznej w Europie i świecie.

W przypadku Sudetów skala zniszczeń jest tak ogromna, że każda pomoc wydaje się mało wystarczająca. W programie wydatków uwzględniono sudeckie zniszczenie lasów, fauny i flory. W rejonie karkonoskim, z powodu zniszczeń w tzw. Czarnym Trójkącie u zbiegu trzech granic państwowych, wymarło już ponad 13 000 ha lasów i ten problem decydenci Funduszu uznali za wystarczający do udzielenia nam pomocy. Następne 8000 ha jest w stałym i bezpośrednim zagrożeniu biologicznym. Będzie to miało istotne skutki przyrodnicze oraz wywrze określony wpływ na warunki życia biologicznego ludności, nie tylko w sferze skażeń powietrza, gleby i wód oraz zniszczenia lasów. Fundusz ma być przeznaczony na ochronę jeszcze istniejących obszarów leśnych w Sudetach oraz tworzenie „banku genów” dla zapewnienia, by endemiczne gatunki lasów sudeckich mogły być w przyszłości

będzie co najmniej 1 mln dolarów, niezależnie od funduszy przyznanych stronie polskiej w ramach pierwszej dotacji bezzwrotnej.

W komunikacie banku Światowego podkreślano, że 50 000 ha Puszczy Białowieskiej w Polsce i 87 000 ha po stronie białoruskiej stanowi jeden problem ekologiczny. Naturalne laboratorium i bank genów roślin występujących na tym obszarze zostało przed laty uznane za Rezerwat Biosfery, z którego zasobów już korzystają nie tylko polscy uczeni i leśnicy, lecz także wiele innych ośrodków naukowych i hodowlanych.

Pomoc z funduszu GEF przeznaczona będzie ponadto na rozbudowę placówek badawczych i chroniących zagrożony materiał genetyczny lasów sudeckich i białowieskich. Polscy specjaliści otrzymają pomoc w postaci sprzętu do gromadzenia materiału genetycznego, urządzenia do jego badania i obserwacji ciągłej (monitoringu) powietrza i gleby. Część

mln dolarów zebranych przez wspomniane rządy na rzecz krajów, w których występują zagrożenia lokalne i globalne. O wykorzystaniu tych środków decydują eksperci 25 krajów opiniujących poszczególne przedsięwzięcia i potrzeby merytoryczne, a Bank Światowy podejmuje decyzję końcową o wsparciu zadań inwestycyjnych. W przypadku dotacji przyznanej bezzwrotnie Polsce, jako pierwszemu krajowi w świecie, decyzja została podjęta m.in. dlatego, że kryterium udzielenia tej pomocy jest (w skali międzynarodowej) fakt uzyskiwania przez jednego mieszkańca dochodu brutto w ciągu roku w wysokości nie przekraczającej 4000 dolarów. Jesteśmy zatem uznawani za społeczeństwo dość ubogie, którego – w przyszłości i obecnie – nie będzie stać na samodzielne rozwiązywanie wielu problemów ekologicznych.

Pomoc ta jest zatem formą wsparcia nie tylko Sudetów czy Puszczy Białowieskiej, jako obszarów ekologicznie za-



II. BESKID ŻYWIECKI

Zasięg terytorialny: Żywiec – dolina Soty i linia kolejowa do Zwardonia i granicy państwa z CSRF – wzdłuż granicy przez Wielką Raczę, Przegibek, Wielką Rycerzową, Piłsko na Babią Górę. Dalej na Przełęcz Krowiarki i przez Przełęcz Zubrzycką do doliny potoku Sidzina i z jego biegiem do doliny Skawy w Bystrej Podhalańskiej. Odtąd liniami kolejowymi: zakopiańską i lokalną przez Maków Podhalański – Suchą Beskidzką do Stryszawy. Doliną potoku Stryszawka w górę jego biegu na Przełęcz między Cichą i Jאלowcem. Stąd do doliny Koszarawy i z jej biegiem przez Jeleśnię do Żywca.

Mapy turystyczne posiadające w swoim zasięgu Beskid Żywiecki: "Beskid Śląski i Żywiecki" 1:75 000; "Beskid Makowski (Beskid Średni)" 1:75 000; "Okolice Krakowa" 1:200 000; "Beskid Mały" 1:75 000.

| Przebieg szlaku | Oddział znakujący | Czas przejścia (godz./min.) | Pkt do GOT | Ilość km | Suma różnicy wznies. (m) | Turystyka narciarska |
|--|-------------------|-----------------------------|------------|----------|--------------------------|------------------------|
| Szlaki turystyczne w kolorze czerwonym: | | | | | | |
| Sól – Rachowiec – Zwardoń | Żywiec | 3.00 – 2.30 | 11/9 | 11,0 | 710 | N |
| Zwardoń – Kikula – Wielka Racza | " | 4.45 – 4.15 | 20/14 | 16,0 | 935 | |
| Wielka Racza – Przegibek – Rycerzowa | " | 4.00 – 3.00 | 19/18 | 16,0 | 810 | N |
| Rycerzowa – Młada Hora – Rycerka Dolna | " | 3.00 – 4.00 | 10/17 | 13,0 | 730 | N |
| Węgierska Górka – Abrahamów – Hala Rysińska | " | 5.00 – 4.30 | 23/15 | 18,0 | 940 | |
| Hala Rysińska – Hala Miziowa | " | 2.30 – 2.30 | 10/9 | 8,5 | 560 | N |
| Hala Miziowa – Przełęcz Glinne | " | 1.15 – 1.30 | 5/10 | 5,5 | 546 | N |
| Przełęcz Glinne – Jaworzyna – Głuchaczki – Mędralowa | " | 5.00 – 4.30 | 19/15 | 16,0 | 1205 | |
| Mędralowa – Przełęcz Jאלowiecka – Markowe Szczawiny | Sucha Bes. | 2.15 – 2.15 | 7/8 | 8,3 | 246 | N |
| Markowe Szczawiny – Przełęcz Brona – Babia Góra | " | 1.30 – 1.15 | 9/3 | 3,7 | 545 | N – dla wprawniejszych |
| Babia Góra – Sokolica – Przełęcz Krowiarki | " | 1.45 – 2.30 | 5/14 | 5,0 | 739 | N – dla wprawniejszych |
| Przełęcz Krowiarki – Polica – Hala Krupowa | " | 2.45 – 2.45 | 13/12 | 9,5 | 675 | |
| Hala Krupowa – Naroże – Cupel | " | 2.00 – 2.15 | 10/12 | 8,8 | 310 | |
| Cupel – Bystra Podhalańska – Jordanów | " | 2.15 – 2.45 | 11/15 | 8,7 | 485 | |
| Sucha Beskidzka – Przysłop – Zawoja Centrum | " | 3.30 – 3.30 | 17/15 | 11,5 | 625 | N |

groźnych, lecz przede wszystkim polskiego społeczeństwa oraz sąsiadów, którzy obawiają się, że pogorszenie jakości naszego środowiska wpłynie niekorzystnie na warunki życia. Takie obawy żywią Niemcy, Holendrzy, Belgowie, Szwedzi i wiele innych krajów, w których badania ekologiczne i obserwacje satelitarne wskazują na źródła zanieczyszczeń występujące od wielu już lat na naszym terytorium i to bez szansy na szybkie ograniczenie ich aktywności.

Wędrując przez Sudety, Góry Izerskie czy Pogórze miejmy zatem świadomość, że niektóre problemy ekologiczne, a więc w znacznym stopniu dotykające każdego turysty, wczasowicza, bywalca uzdrowisk, są obok nas i bez względu na skalę pomocy z zagranicy to przede wszystkim my będziemy mieli z nimi do czynienia.

Tomasz Kowalik



Las na Wysokiej Kopie w Górach Izerskich. Rys.: Artur Kwaśniewski

| Przebieg szlaku | Oddział znakujący | Czas przejścia (godz./min.) | Pkt do GOT | Ilość km | Suma różnicy wznies. (m) | Turystyka narciarska |
|---|-------------------|-----------------------------|------------|----------|--------------------------|---|
| Szlaki turystyczne w kolorze niebieskim: | | | | | | |
| Zwardoń – Jaworzyna – Rycerka Górna Kolonia | Żywiec | 4.15 – 4.00 | 14/14 | 11,5 | 1140 | |
| Przełęcz pod Banią – Rycerzowa | * | 1.30 – 1.15 | 7/5 | 5,0 | 170 | |
| Krawców Wierch – Złatna Szkoła | * | 1.30 – 2.00 | 5/9 | 6,0 | 464 | |
| Złatna Szkoła – Hala Lipowska | * | 2.30 – 2.00 | 12/6 | 7,5 | 724 | |
| Zabnica Dolna – Prusów – Hala Boracza | * | 2.45 – 2.15 | 13/8 | 8,5 | 716 | N |
| Hala Boracza – Sucha Góra – Rajcza | * | 2.30 – 3.00 | 10/14 | 8,5 | 655 | N |
| Bystra – Juszczyńska – Słowianka – Romanka | * | 4.30 – 3.00 | 18/9 | 12,0 | 1015 | |
| Romanka – Sopotnia Mł. – Tokarka – Żywiec | * | 6.15 – 7.00 | 20/30 | 23,5 | 1315 | |
| Sopotnia Wlk. – Hala Rysianka – Hala Lipowska | * | 2.30 – 2.00 | 9/4 | 7,5 | 575 | |
| Korbielów – Przełęcz Przysłopy | * | 1.00 – 0.45 | 6/3 | 3,0 | 247 | N |
| Zawoja Policzne – Przełęcz Krowiarki | Sucha Bes. | 1.30 – 1.15 | 5/3 | 5,0 | 286 | |
| Przełęcz Krowiarki – Markowe Szczawiny | * | 2.00 – 1.45 | 9/7 | 7,0 | 185 | N |
| Skawica – Sucha Górna – Hala Krupowa | * | 2.30 – 2.00 | 14/8 | 8,5 | 692 | |
| Polica – Przełęcz Zubrzycka | * | 1.00 – 1.30 | 5/8 | 5,0 | 470 | |
| Kojszówka – Malinowe | Nowy Targ | 3.00 – 2.00 | 12/7 | 8,0 | 485 | |
| Malinowe – Sidzina Dom Dziecka | Rabka | 1.15 – 1.30 | 8/11 | 5,0 | 280 | |
| Szlaki turystyczne w kolorze zielonym: | | | | | | |
| Rycerka Dolna – Przegibek – Rycerka Górna Kolonia | Żywiec | 3.45 – 3.45 | 16/14 | 13,0 | 750 | |
| Ujsoty – Muńcuł – Rycerzowa | * | 3.15 – 2.45 | 17/11 | 10,5 | 997 | |
| Zabnica Skalka – Hala Lipowska | * | 2.30 – 1.45 | 12/6 | 8,0 | 675 | |
| Hala Lipowska – Hala Boracza – Milówka | * | 3.15 – 3.45 | 12/20 | 15,0 | 870 | N Boracza – Milówka równ. trasa zjazd. |
| Korbielów Kamienna – Hala Miziowa | * | 1.45 – 1.15 | 12/5 | 5,0 | 700 | |
| Hala Miziowa – Buczynka – Sopotnia Wielka | * | 1.45 – 2.30 | 6/13 | 7,0 | 735 | |
| Przyborów – Moczarki – Mędralowa (zach.) | * | 2.15 – 2.00 | 10/5 | 7,5 | 760 | N |
| Hucisko – Koszarowa Cicha – Czarniawa Sucha | Sucha Bes. | 2.45 – 2.15 | 13/11 | 8,5 | 520 | |

XXXVI RAJD SUDECKI

Wszystkie drogi prowadzą na Edelštejn!

Spośród imprez (nie tylko turystycznych) organizowanych przez środowisko studenckie Wrocławia, mało która może się poszczycić takimi tradycjami, jak Rajd Sudecki. Organizowany przez Studenckie Koło Przewodników Sudeckich (dawniej Koło Przewodników Akademickiego Klubu Turystycznego) zbiera co roku miłośników Sudetów i górskiej wędrówki, głównie (choć nie tylko) z kręgów akademickich.

Od końca lat pięćdziesiątych, gdy dopiero co powstałe AKT po raz pierwszy zorganizowało rajd, zmieniały się czasy, obyczaję, także i turyści. Naturalnie więc zmieniał się też rajd. Na zawsze odeszły rajdy – molochoy z lat sześćdziesiątych, gdy kilkudziesięczne tłumy z trudem mieściły się w specjalnie podstawianych pociągach (o jednej z takich imprez pisał K. R. Mazurski w artykule „Rajd z dzwonekami” – Na Szlaku 3/1992). Wielkie rajdy za symboliczne pieniądze skończyły się razem z dotacjami.

Ogólnopolski charakter także trudno obecnie utrzymać, wobec rozbicia turystyki studenckiej i trudności z informowaniem zainteresowanych w innych ośrodkach akademickich. W ostatnich latach doszły jeszcze nowe problemy – koszty uprawiania turystyki stały się bardzo wysokie, możliwości finansowe studentów, jak większości z nas zresztą – na odwrót – wyjątkowo kiepskie. Przyszły więc dla rajdu chude lata. W 1990 r., w atmosferze szaleństw cenowych, w ogóle nie udało się go zorganizować. W ubiegłym wypadł dość skromnie, co było też po części efektem kryzysu, jaki zapanował w SKPS.

Niektórym wydawało się już, że oto pożegnamy się z wieloletnią tradycją i Rajdy Sudeckie SKPS pozostaną tylko we wspomnieniach, ale na szczęście stało się inaczej. XXXVI Rajd Sudecki, który odbył się 29.IV. – 3.V.1992 r. udał się świetnie. Nie zabrakło uczestników, nie było kłęski finansowej, jakiej obawiali się niektórzy z organizatorów, ponure przepowiednie umilkły.

Warto może poświęcić nieco uwagi kilku szczegółom organizacyjnym, które pomogą ukazać obecny charakter rajdu. Od kilku lat zresztą jest on dość podobny. Trasy nie są zbyt liczne (na każdej z nich jest nie więcej niż piętnaście osób), za to całą drogę idą razem z przewodnikiem. Dba on nie tylko o to, żeby uczestnicy mieli gdzie spać i nie zabłądzili, ale także stara się ich bliżej zaznajomić z ciekawostkami krajoznawczymi, często takimi, o których nie przeczyta się w przewodnikach. Normalne jest też to, że grupa nieraz schodzi ze znakowanych szlaków, bo przewodnik chce pokazać coś interesującego, a znajdującego się w takim miejscu, że tylko chyba on sam i paru jego znajomych wie, jak tam dojść.

Wszystkie trasy spotykają się ostatniego dnia na którymś z sudeckich zamków.

W tym roku rajd zyskał jeszcze jedną atrakcję – dzięki otwarciu granicy można go było bez większych problemów zorganizować w Czecho-Słowacji.

Tu ważne wydaje mi się jeszcze

jedno wyjaśnienie. SKPS od dawna już penetrował czeskie Sudety, wykorzystując ku temu wszystkie możliwości i okazje, dzięki czemu wielu naszych przewodników zna je niewiele gorzej od polskich Sudetów.

Impreza odbywała się w Jesionikach i przyległych do nich pasmach Sudetów Wschodnich, a zakończenie miało miejsce w ruinach średniowiecznego zamku Edelštejn. Uczestniczyło w nim nieco ponad sto osób, na dziewięciu trasach (pięcio-, cztero- i trzydniowych).

Każda z tras miała swój główny motyw. Była więc trasa jaskiniowa, która wśród innych atrakcji pozwalała poznać zjawiska krasowe, w tym także jaskinie – zarówno te zagospodarowane turystycznie (z oświetleniem, biletami, przewodnikami etc.), jak i te, do których wchodziło się z własnymi latarkami, a po wyjściu można było zdrapywać błoto z ubrania.

Była trasa szlakiem biskupstwa wrocławskiego, oglądająca jego pamiątki (głównie architektoniczne) po kilkunastokilometrowej przynależności okolic Jesenika do diecezji wrocławskiej.

Trasa „Grzbietem Wysokiego Jesionika” przeżywała ciężkie chwile brodząc w głębokim topniejącym śniegu przy paskudnej pogodzie (ale za to jest co wspominać!).

Trasa „Rychlebské hory” przemierzała rzadko odwiedzane zakątki morawsko-śląskiej części pasma znanego u nas jako Góry Złote. Zwiedziła kilka starych zamków, weszła także na trudno dostępny od polskiej strony Trójkrajny Smrek – szczyt, na którym zbiegają się granice Ziemi Kłodzkiej, Moraw i Śląska.

Jako pierwsza komplet uczestników zebrała trasa „ogólnowojskowa”, tzn. taka, która nie miała żadnego specjalnego hasła, ale została tak dowcipnie zareklamowana przez kierownika w rajdowym informatorze, że było na nią o wiele więcej chętnych niż miejsc („Marszruta utajniona, anulowano, ściśle tajna, anulowano, prawie jawna, anulowano, nieprzewidywalna...” – cytat z informatora).

Na trasie „Śladami dawnego górnictwa złota” można było zwiedzić kilka wyrobisk i sztolni pozostałych po kopalniach tego kruszcu w okolicach miasteczka Zlaté Hory.

Wreszcie, ósmy już raz, poszła na rajd Trasa Idiotyczna. Jest to specjalna trasa dla najwytrwalszych, którzy chcą powalczyć z własnym zmęczeniem i słabością, by po dojściu do celu zasnąć kamiennym snem. Jej uczestnicy, idąc dzień i noc, przemierzają w ciągu dwudziestu kilku godzin drogę, którą zwykle trasy pokonują w trzy dni. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że chodzi tu tylko o polykanie kilometrów. Charakter tej trasy pozwala często poprowadzić ją przez tereny, które turyści zwykle omijają ze względu na niedostępność komunikacyjną czy brak bazy noclegowej. W tym

roku trasa ta wyruszyła z Opawicy koło Głubczyc i w drodze do przejścia granicznego Pietrowice–Karniów (po czesku Krnov) przemierzyła najdalej na wschód wysunięty skrawek polskich Sudetów (wysokość najwyższego szczytu ok. 540 m), z którego istnienia większość turystów nie zdaje sobie nawet sprawy. A że teren ów, gdzie turysta to gość egzotyczny, leży przy samej granicy, nie obyło się bez ostrej wymiany zdań ze Strażą Graniczną. Objawił się w niej bowiem tępotławy komendant strażnicy o manierach socjalistycznego funkcjonariusza, pilnującego ładu i porządku („nic nie wiem o żadnym rajdzie, kto jest organizatorem, nie zgłosili się na strażnicy, co to ma znaczyć...”). Na szczęście udało się przejść zaplanowaną trasą bez żadnych zmian.

Ostatni dzień rajdu, w przeciwieństwie do poprzednich, nie uraczył nas piękną pogodą. W powietrzu wisiała gęsta mgła, od czasu do czasu mżyło. Była to jednak idealna pogoda dla duchów, które pojawiły się po zakończeniu rajdu, by opowiedzieć legendę o historii Edelštejnu (wszak każdy szanujący się zamek ma swoje legendy i duchy!).

Swego rodzaju atrakcją stał się też przejazd w drodze powrotnej ze Zlatých Hor do Mikulovic... Przeszło siedemdziesiąt osób musiało się zmieścić do niewielkiego wagonu motorowego (kto jeździł lokalnymi liniami czeskich kolei wie, co to znaczy). Niektórzy jeszcze wstąpili w Mikulovicach na piwo do knajpy, w której można było prze-

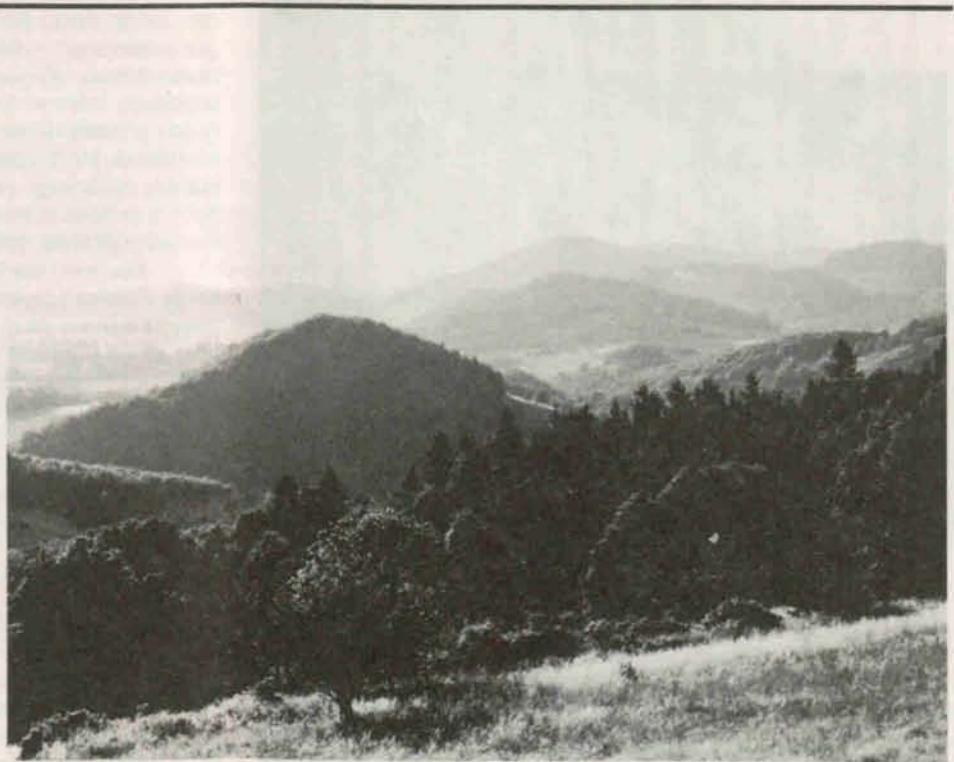
czytać złotą myśl: *Budiž Bohu chvála, kosťel zhořel, hospoda zůstala.*

Z wypowiedzi wielu uczestników można sądzić, że byli z rajdu zadowoleni. Wielu obiecywało, że w przyszłym roku także wezmą w nim udział. Można więc mówić o sukcesie organizatorów, szczególnie kierownika rajdu, którym w tym roku był Janusz Kućmin. Wiele problemów organizacyjnych, zwłaszcza zapisy, wziął na siebie Oddział Wrocławski PTTK (jako koło nie jesteśmy w stanie sprawnie tego zrobić, a tzw. studenckie biura podróży od dawna niewiele mają wspólnego z turystyką, zajmując się głównie zdobywaniem pieniędzy na wczasowiczach, handlarzach, naciągaczach wyciągowych itp.).

W przyszłym roku, mamy nadzieję, rajd odbędzie się znów. Planujemy go zorganizować ponownie w Czecho-Słowacji, prawdopodobnie na drugim końcu Sudetów – w Górach Łużyckich, Ještědsko-kozákovskim grzbiecie i Górach Izerskich.

Marzy nam się zorganizowanie rajdu, którego uczestnicy będą mogli wędrować po Sudetach w miarę swobodnie, bez konieczności nakładania wielu kilometrów asfaltu, by dostać się do przejścia granicznego. Życzymy więc sobie wszyscy tego, by jak najszybciej zniknęła bariera sztucznie dzieląca Sudety na odizolowane od siebie części.

Jacek Potocki



Widok ze Skowroniej Góry w Krowiarkach, w Kotlinie Kłodzkiej. Foto: Cezary Bartczak

Nazwisko Stanisława Jaszowskiego (1803–1847) niewiele mówi dzisiaj czytelnikom, turystom, krajoznawcom, miłośnikom gór, pamiętając zaś o nim właściwie już tylko naukowcy, zajmujący się wczesnoromantyczną literaturą polską i pamiętający, że w swoim czasie odegrał on ważną, a może nawet bardzo ważną, rolę w dziejach życia literackiego we Lwowie, zasłużył się bowiem jako wydawca i redaktor almanachów literackich *Sławianin* (1837–1939) i *Dniestrzanka* (1841). Ale też ci sami historycy literatury stanowczo mniej uwagi poświęcają oryginalnej literackiej twórczości Jaszowskiego, pamiętając jednak, że był jednym z pierwszych zawodowych polskich literatów, że zdobył sobie wielką poczytność

tym faktycznie polega jego rola w dziejach naszej literatury, że inicjował w Polsce ten typ twórczości, właśnie świadomie adresowanej do szerokiego kręgu czytelników, oczekujących od literatury rozrywki, zabawy, łatwych emocji i tanich wzruszeń. Słowem, był Jaszowski jednym z najważniejszych inicjatorów tej, by tak rzec, gałęzi twórczości literackiej, która potem wydała takie swoiste arcydzieła literatury popularnej (kiedyś się mówiło, że to literatura dla strażaków i kucharek), jak słynna *Trędowata*, jak *Między ustami a brzegiem pucharu*, jak *Dzikuska czy Narkotyk gór*. Prawdę mówiąc, niejedyn z nas się w tych utworach rozczczywał, mniej czy więcej jasną mając świadomość, że tego rodzaju fascynacjami literac-

Z DZIEJÓW TURYSTYKI I LITERATURY GÓRSKIEJ

Śpiewać będę Karpaty, te góry olbrzymie...

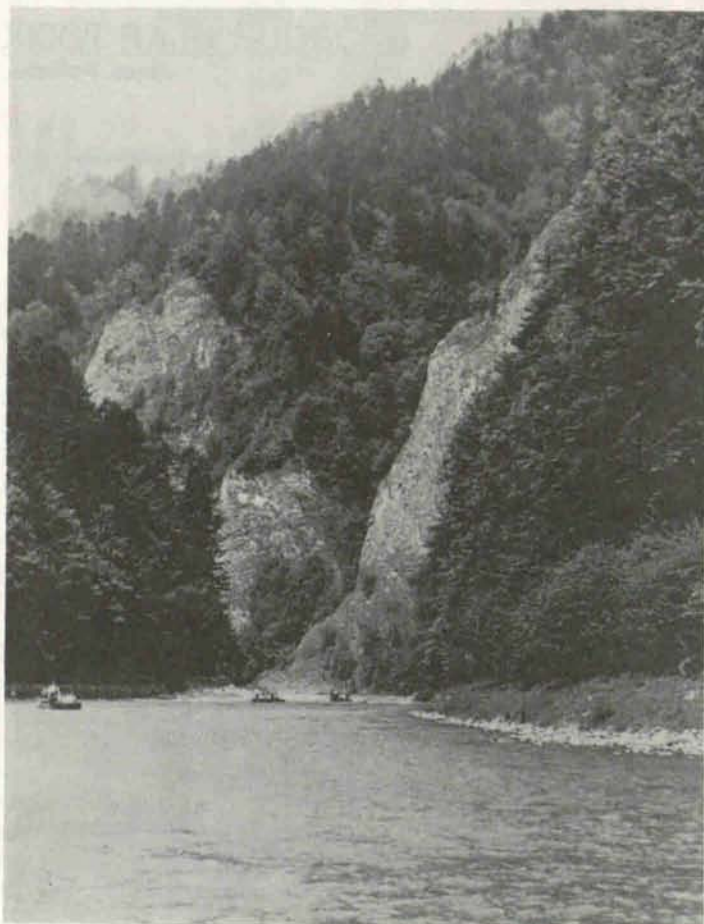
jako autor *Powieści historycznych polskich* (1829–1830), opowiadających między innymi o dramatycznych dziejach kazirodziej miłości Stanisława i Anny Oświęcimów, że duży rozgłos przyniosła mu także jedna z pierwszych powieści „egzotycznych” *Mulatka* (1833), związana z dziejami legionów na San Domingo, a opowiadająca o wielu lądowych i morskich przygodach bohatera – Polaka, przeżywającego namiętą miłość do pięknej Mulatki. Mało w tym wszystkim było prawdopodobieństwa, więcej fantazyjnie zmyślanych przygód i dość zgrabnych opisów urody kolorowej piękności, literacka więc, artystyczna wartość tej produkcji Jaszowskiego wielka nie była i on sam doskonale sobie z tego zdawał sprawę, własną twórczość oceniając sceptycznie i wiedząc dobrze, że służy ona doraźnemu spełnieniu oczekiwań, żądnej romansów, publiczności. Był bowiem Jaszowski ze świadomego wyboru pisarzem popularnym i na

kimi niezbyt się wypada chwalić. Otóż Jaszowski, jako jeden z pierwszych w naszej literaturze, realizował takie konwencje niewygorowanego pisarstwa, nie stał się jednak jego takim klasykiem, jak słynne później Mniszkówna czy Zarzycka i Marczyński, nie przeto dziwnego, że poszedł w zapomnienie – całkowicie...

Tak się jednak stało niefortunnie, że razem z tym jego lichym piarstwem, którego popularność nie przeżyła autora, w zapomnienie poszło jedno jeszcze dzieło Jaszowskiego, nie całkiem wprawdzie artystycznie dojrzałe, przecież jednak prawdziwie piękne i autentycznie ważne. Dziełem tym, godnym dziś przypomnienia i pamięci, godnym porządnej reedycji, jest – jak to się wówczas zwało – „poemat opisowy” *Karpaty*, wydrukowany w 1821 r. w „Pamiętniku Galicyjskim”. Jego autor (debiutował młodo, mając lat 16!) miał wtedy lat aż osiemnaście, napisał jednak utwór zgrabny i ładny. Pisał go Jaszowski chcąc konkurować z geniuszem i sławą uznanych wielkości literackich, czego się jednak nie doczekał. A przecież jednak później, już w wieku XX, kilka pokoleń badaczy całkiem poważnie spierało się o to, jakie góry Jaszowski opisał. Wymieniano Tatry, Pieniny, Góry Świętokrzyskie, nim ostatecznie zamknięcie sporu nie wykazało, że w dziele swym dał młodzieutki poeta, by tak rzec, krajobrazową i krajoznawczą syntezę całych Karpat Polskich. Bo też góry w tym poemacie przypominają Tatry, Beskidy Wschodnie, Pieniny, całe zaś to dzieło jest jakby poetycką repliką – czy raczej poetyckim „uzupełnieniem” – wielkiej, słynnej i ważnej pracy Stanisława Staszica *O ziemiórództwie Karpatów i innych gór i równin Polski* (1815), tego arcydzieła, które w decydujący sposób wpłynęło na kształt polskiej turystyki górskiej, które uformowało główne kontury ideologii polskiego taternictwa, które uczyło Polaków reagowania na góry i wypełniało swoistą rolę duchowego przewodnika (mówię tu zawsze o „partyturze przeżyć”), z tą bowiem księgą chadzali romantyczni turyści w góry, jak o tym zaświadcza liczne przykłady. Ale o tym kiedy indziej.

Jaszowski tak właśnie – jako swoisty „przewodnik” potraktował księgę Staszica („Spieszę z S t a s z y c e m w rękę do celu podróży”), opisując zaś swą jakąś wyprawę górską, nie ulega bowiem wąpliwości, iż poemat ten jest także rejestracją wrażeń wyniesionych z jakiejś dłuższej, bardzo już romantycznej, wędrowki po górach, stworzył zarazem pierwszy polski poemat o górach, opisujący ich krajobraz, wrażenia, jakich doznaje turysta nad przepaściami, na szczycie, w mrocznych jaskiach i w ciemnej, pierwotnej puszczy. Słowem, jest to prawdziwie poetycka synteza krajobrazu i człowieczych, bardzo już romantycznych, reakcji na ów krajobraz, dając dobre wyobrażenie o tym, jak się w górach zachowywali ówczesni turyści, na co zwracali uwagę, co im się i jak podobało, po co wreszcie szli w te góry, istotną zaś zaletą owej wypowiedzi jest, że dana została dobrym, zgrabnym rytmicznym wierszem, tworzącym bardzo nieraz udatne opisy krajobrazu:

Małe chatki swym cieniem dumna kryje skała,
Której gęsta murawą wklęsły grzbiet pokryta,
Tysiące burz, i wieków tysiące przetrwała.
Śnieg tak dawny, jak ona ubiera jej szczyty,
Z trwogą zadumiałymi mierzę twój oczyma,
Który wiosna uwdzięcza, a nasroża zima.



Przełom Dunajca w Pieninach. Foto: Piotr Dacko

Wiedzione ciekawością kędy zwracam kroki,
Walczy ze śmiercią życie, z powabami zgroza.
Na urwisku pochyłym kamiennej opoki
Wznosi smętne konary zaplakana brzoza.
Patrzy na igrające po nizinach trzody
I nurcie kryształowej przygląda się wody.

Pamiętając o tym, by zgodnie z regułami poezji, nazbyt dosłownie tych wierszy nie odczytywać i nie próbować zbędnej ścisłej identyfikacji topograficznej, dostrzegamy w tym fragmencie bardzo wiele tych składników krajobrazu gór i sposobu ich interpretacji, które potem wejdą do poezji romantycznej i jakimś echem powrócą w znanych wierszach Adama Asnyka i Kazimierza Tetmajera o samotnej limbie rosnącej nad bezdenną przepaścią. W krajobrazie gór Jaszowskiego panuje harmonia – grozie odpowiada idylla, jego bowiem poezja wyraża wiarę w harmonię natury. Ale jest w tej poezji także – chyba po raz pierwszy w polskim języku – tak dobitnie wyrażona radość ze wspinania się na góry:

Im się wyżej do góry drżąca noga spina,
Tym weselszy mój umysł, tym lżejsze powietrze.
Połknięciem zlakomiona grozi rozpadlina,
Lecz się moja wytrzymałość z jej srogością zetrze.
Przeszedłem. – Nic trudnego nie ma dla człowieka,
A im przykrzejszy zawód, miłsza rozkosz czeka.

Nic przeto dziwnego, że w *Karpatach* Stanisława Jaszowskiego miejsce szczególne zajmuje bardzo efektowny opis pobytu romantycznego turysty na górskim szczycie, łączący się z pełnym uczucia i wzniosłości opisem widoku z wyniosłej góry się roztaczającego:

Oto jestem na szczycie wzniesionym wysoko,
Co na pomniejsze wzgórki pogląda z pogardą.
Po rozległych płaszczyznach buja moje oko;
Na siedzenie opokę zamieniłem twardą.
Tu walczy z sobą wichrów poczet wieloraki,
A pod mymi nogami przelatują ptaki.

Co za widok wspaniały, godny twórcy świata!
Z uroczystym na wszystko patrzę zadumieniem,
Po niezmiernym lazurze bystry wzrok mój lata,
Który jaskrawym słońca złożony promieniem.
Witam ten boski ogień, co w przelocie rączy,
W każdy twór istniejący nowe życie sączy.

(...)
Z górnych niebios na ziemię spuszcza wzrok ciekawy
I tym ogromem wdzięków tkliwie oko pasę,
(...)
Tu wzgórek, tam nizina, tu gaik, tam łąka.
Jeden przedmiot po trzykroć chciwym okiem zmierzę,
W chwili po tysiąc wdziękach me oko się błąka,
Tu widzę małą chatkę, tam olbrzymią wieżę.

Aż by się chciało powiedzieć, że Jaszowski opisał widok z naszej podwrocławskiej „góry domowej” – Sobótki (zawsze używałem i będę używał tej nazwy, nigdy się nie zgodzę na nazwę Ślęza, mam na to poważne argumenty i proszę, by mi tego w redagowaniu tekstu nie zmieniano – do sprawy tej zresztą wkrótce wrócę w osobnym artykule). A pamiętać trzeba koniecznie, że wiersze te pisał autor osiemnastoletni, co daje jakąś miarę jego talentu.

Osobną partię poematu poświęcił Jaszowski ludziom gór. Ich literacki obraz ujął, co nie dziwi, w konwencji sielankowej, ulegał bowiem wpływom wielkiego autorytetu epoki – szwajcarskiego poety Salomona Gessnera (1730–1788), którego *Sielanki* ukazały się w polskim przekładzie w 1800 r. i spory wpływ wywarły na poetów polskich, nie przeto dziwnego, że także na Jaszowskiego. Podobało się Jaszowskiemu, że górale żyją w zgodzie z porządkiem natury („Podług ich przekonania dzień pracy należy/ Lecz noc odpoczynkowi poświęconą bywa”), że żyją skromnie z pracy własnych rąk („Gdy słońce znika, śpieszą do skromnej wieczerzy/ Tam utrudzenie proste zaprawia warzywa”), ale – prawdę mówiąc – najbardziej młodemu poecie podobały się hoże górali i urodę ich opisał z męskim znanstwem:

Pięknej im nie odmawia natura urody,
Kojarząc zwinną postać z kibicią pieszczoną,
Mają ogniem pożerczym napelnione oczy,
A sam bożek miłości okrągłą pierś toczy.

Oparł się jednak autor płynącym z tych widoków pokusom i wspomniał swoją ukochaną Teklusię, która pewnie piersi miała równie śliczne, jak owe góralskie dziewczyny...

Widząc w górach tyle śliczności i powabów, Jaszowski jednak nie zapomniał o autentycznej grozie gór, pierwotnej puszczy górskiej z jej dziką zwierzyną (skoro był w Beskidach Wschodnich, to z pewnością nie przesadzał), wiedząc, że w tym dzikim świecie:

Wszystko się na biednego człowieka sprzysiega,
W świat pełen niebezpieczeństw zapuszcza się nagi,
Grozi mu i żywiołów, i zwierząt potęga,
Każdy krok jego dzielnej wymaga odwagi.

Opisał więc Jaszowski także grozę górskiej burzy i zajrzał też w głąb przerażającej ciemnością jaskini:

Panuje w niej milczenie i posępność niema,
Nigdy w tych dołach nie świszczą podmuchy;
Nie bez przyczyny góral łatwowierny mniema,
Że tędy w kraj wieczności dąją zmarłych duchy,
Niektórzy nawet (czyliż nie wierzyć tej wieści?)
Słyszą tu w nocnej dobie błędnych cieniów jęki
Lub niemowląt kwilenie albo płacz niewieści,
Nim się usta nadobnej rozśmieją jutrenki.

Wspomniał też Jaszowski o słynnej zbójniczce Rusinowskiej, która – jeśli wierzyć Marcinowi Bielskiemu – powieszona została z mieczem i w tym męskim stroju, w jakim zbójowała, w Brześciu w 1505 r. Zakończył zaś Jaszowski swój poemat akcentem miłym – opisem ludowego wesela, na które został zaproszony:

Zaproszony od dobrych wieśniaków na gody,
Chętnie poszedłem z nimi do rodzinnej chaty,
Wszyscy śpiewali, skakał z radości Pan Młody,
Przed pomieszkaniem rżęsne spełniano wiwaty,
Ze słodkim płynem duży puchar krążył wkoło,
Bawiłem się przyjemnie, mile i wesoło.

To oczywiście znów sielanka, ale tym razem pewnie byśmy zbłądzili sądząc, że ów opis wesela, na które zaproszono przypadkowego turystę, który wszedł w czasie wycieczki do wiejskiego kościoła i zobaczył tam wieśniaczy ślub, jest tylko literackim zmyśleniem w duchu sielanki. Takie to były wtedy bowiem zwyczaje, że wędrowiec-turysta traktowany był na polskiej wsi jako miły gość. Poemat Jaszowskiego daje wiarygodne świadectwo tak samo, jak daje równie godne wiary świadectwo sposobom ówczesnego reagowania na krajobraz. Góry dla Jaszowskiego były krainą wzniosłości tym ważniejszą, iż były to góry polskie. Idąc w ślad za staropolską tradycją Jana Długosza, Wespazjana Kochowskiego i Macieja Sarbiewskiego, pasmo Karpatów ograniczające Polskę od południa interpretował on jako obronny mur – i ta koncepcja także powróciła w późniejszym myśleniu o górach oraz pod piórem czy to Wincentego Pola, czy Franciszka Nowickiego. Jaszowski inicjował więc ważną tradycję i dlatego warto wczytać się w słowa otwierające jego poemat:

Śpiewać będę Karpaty, te góry olbrzymie,
Wzniesione ręką twórcy dla naszej obrony;
Oby mi się udało w wdzięcznym wydać rymie
Tych gór tak malowniczych wdzięk nieoceniony.

Ta próba Jaszowskiemu z pewnością się powiodła. Dlatego warto by dziś pomyśleć o reedycji jego *Karpat*, by współczesny górski turysta poznać mógł jeszcze jedno źródło tradycji naszego polskiego sposobu widzenia gór...

Jacek Kolbuszewski

Nareszcie wakacje, pozostaje tylko sprowadzić remanent, aby nie było zaległości i można odpoczywać w błogim spokoju. W niniejszym numerze „Na Szlaku” Redakcja zamieściła dwie korespondencje dotyczące moich poprzednich rozmyślań. Jeszcze na starość jestem naiwny, bo myślałem, że reakcja nastąpi z zupełnie innej strony. Ale na bezrybiu i rak ryba. Proszę uniżenie autorów tych korespondencji, aby nie obrazili się za cytowane powyżej porzekadło ludowe.

Zacznę może od wypowiedzi Kolegi Wojciecha Sobiecha. Na wstępie pragnę zaznaczyć, że jeśli kiedykolwiek ulegałem emocjom,

niestety Zarząd Główny, opanowany spółkomania, nic nie widzi poza nią, nie przymierzając, jak koń dorożkarski, któremu klapki nie pozwalają na szersze spojrzenie.

Spółka „Szkoła Górską Przewodników” już działa, widziałem taki szyld na baczówkach w Karpaczu. Spółka ta znacznie rozszerzyła zakres szkolenia, gdyż wywiesiła wielki anons „Salon bilardowy”. Sądzę, że szkolenie bilardowe będą przechodzić przewodnicy trzeciej klasy. Na drugą klasę trzeba chyba będzie wyrabiać zręczność nie na wspinaczkach, ale na automatach do gry. Kandydaci na pierwszą klasę, jako że jest to już elita, będą rozwijać swe umiejętności w ecarté,

oczami wyobraźni ujrzałem scenkę rozgrywaną się w OZGT z udziałem pana dyrektora i moim. Wchodzę, przedstawiam się jako działacz i proszę o pokazanie umów dotyczących schronisk. Pan dyrektor zrywa się z biurka, biegnie do sekretariatu i poleca przynieść natychmiast wszystkie umowy. Zaprasza mnie do spoczynku w fotelu, sekretarka przynosi umowy i kawę (a może i koniak?), a ja w błogim spokoju oddaję się lekturze, natomiast pan dyrektor czuwa w napięciu, aby udzielić wyjaśnień, jeżeli o to poproszę. Ciekawe, jak wyglądałaby rzeczywistość. W jednym zgadzam się z panem dyrektorem bez zastrzeżeń. Ja też

Rozmyślania na szlaku (19)

to działo się to tak dawno, że już nawet nie pamiętam kiedy, a zresztą patrzę na wszystko z dystansu i z przymrużeniem oka, i nic nie jest w stanie wywołać we mnie jakiegokolwiek emocji. O przypuszczeniach też nie można mówić, gdyż wypowiedzi swoje opieram na faktach. Co do sytuacji prawnej obiektów PTTK-owskich, to wiadomo, że nikt w Towarzystwie do tej sprawy nie przykładał żadnej wagi i na ten temat nie będę zabierał głosu. Kolega Sobiech przytoczył wyjątki z umów dotyczących „Kochanówki”, „Złotej Jamy” i „Przełęcz Okraj” i nie mam podstaw, aby je kwestionować. Ale w dniu 18.10.1991 r. we dwóch odwiedziliśmy „Złotą Jamę” w Szklarskiej Porębie i pani w recepcji stwierdziła, co następuje: są wolne miejsca po 50 000 złotych za nocleg, ale nie udziela zniżek, ponieważ nie jest to obiekt PTTK-owski tylko od 1 stycznia 1991 r. jej prywatny i to samo dotyczy „Kochanówki”, a jeśli chcemy skorzystać ze zniżki, to powinniśmy udać się na Halę Szrenicką. W grudniu 1991 r. otrzymałem drukowaną w kilku kolorach reklamówkę schroniska na przełęcz Okraj. Wymieniona tam była cała gama usług świadczonych przez to schronisko, ale nie było ani słowa o udzielaniu zniżek członkom PTTK. W nagłówku figurował właściciel (podkreślenie moje), a nie dzierżawca – pan Ryszard Stempień. Jeżeli powyższe informacje nie stanowią podstawy do pytań zawartych w moich poprzednich wypowiedziach, to ja jestem kacyk perski. Niestety, Kolega Sobiech nie ustosunkował się do innych moich zastrzeżeń dotyczących bazy w województwie jeleniogórskim, np. DW w Jeleniej Górze czy piwiarni w OZGT. W dalszym akapicie stwierdza Kolega Sobiech, że „Niestety Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK nie potrafiła w znaczący sposób wejść w lukę powstałą – jeśli chodzi o schroniska – po likwidacji zarządów wojewódzkich”. I tu muszę Kolegę Sobiecha rozczarować. Nie było żadnej luki, ponieważ zarządy wojewódzkie nie zarządzały schroniskami.

I sprawa druga. Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK opracowała program działalności schronisk po planowanej likwidacji OZGT-ów, a nie zarządów wojewódzkich, lecz

bacaracie lub być może w ruletce. I tak skończy się przewodniczące kłopoty z zamykaniem szlaków, a szkolenie stanie się atrakcyjne i nie będzie trudności z naborem kandydatów.

Drugą korespondencję nadesłał dyrektor Okręgowego Zespołu Gospodarki Turystycznej w Jeleniej Górze. Niestety, jak to zwykle bywa w takich pismach, nie ma i w tym żadnych konkretów, tylko pouczenia i oczywiście obrażanie się i groźenie sądem. A propos sądu. Tak jakos zdarzyło się w moim przydługim życiu, że nie stawałem nigdy przed sądem. Raz tylko przeżyłem namiastkę sądu, kiedy wylądowałem wraz z innymi w tajdze i pan w niebieskiej czapce poinformował, zresztą dość poprawną polszczyzną, że przyjechaliśmy tu na dziesięć lat, a potem się zobaczy co dalej. Ale to nie to, co uczciwy wyrok za skazanie niewinnych osób. Już od wieków wiadomo, że człowiek, który uważa się za obrażonego, nie musi niczego udowodniać, obrażenie się wystarczy za wszystko.

Po odczytaniu pisma pana dyrektora,

nie uważam się za dziennikarza. Jestem tylko nieudolnym amatorem i piszę o tym, co widzę i słyszę.

A teraz coś z dokumentów. Pozwólę sobie zacytować jeden z paragrafów Uchwały nr 95/91 z dnia 4.10.1991 r. podjętej przez Zarząd Główny PTTK: „par. 3. Łączy się przedsiębiorstwa OZGT PTTK w Jeleniej Górze, Szczawnie Zdroju oraz Foto-Pam we Wrocławiu. W wyniku połączenia powstaje Dolnośląskie Przedsiębiorstwo Turystyczne PTTK we Wrocławiu” i w zakończeniu, że uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia. Zachodzi teraz pytanie: jest OZGT czy go nie ma? Sądząc po piśmie z 17.4.92 r. dyrektora OZGT, to na optykę jest, ale na zdrowy rozum to go nie ma zgodnie z uchwałą Zarządu Głównego PTTK. I bądź tu mądry. Uchwały i umowy sobie, a życie sobie. I już na zakończenie spraw związanych z tymi dwoma pismami. W „Złotej Jamie” nie udzielono nam zniżek jeszcze przed wejściem w życie Uchwały



Schronisko „Kochanówka” przy Wodospadzie Szklarki koło Szklarskiej Poręby

Foto: Archiwum

Prezydium ZG PTTK nr 91/91 z dnia 18.9.91 r. w sprawie prowadzenia schronisk PTTK, która miała obowiązywać od 1.12.91 r. Ponieważ musieliśmy skorzystać z innej bazy noclegowej, nieco tańszej niż „Złota Jama”, ale placąc drożej niż wynikało to z naszych uprawnień członkowskich, a więc za dwie noce zamiast 20 000 zapłaciliśmy 70 000 zł, różnicę powinien zwrócić nam pan dyrektor OZGT, ponieważ dzierżawczyni, a nie właścicielka „Złotej Jamy” nie wywiązała się z postanowień umowy, a pan dyrektor uważa, że napisałem nieprawdę. Rachunek jeszcze mam.

Ale dosyć już o sprawach PTTK-owskich. Coś z innej beczki. Byłem ostatnio w Świebodzicach i stwierdziłem, że to sławetne miasto nie pozostaje w tyle za innymi. Oczywiście, jak przystało, jest ulica Marszałka Józefa Piłsudskiego, przerobiona tu z ulicy Stanisława Dubois. Trzeba przyznać, że w tym wypadku władze miasta stanęły na wysokości zadania i wykazały się dobrą znajomością historii, zamieniając jednego byłego członka PPS na drugiego. Z Jankiem Krasickim załatwiono oszczędniej, po prostu zrobiono z niego biskupa Ignacego Krasickiego i spokój. Ale czy to tak ładnie, aby biskupa zrobić z komunisty? Z placu 22 Lipca powstał plac Legionów Polskich, tylko nie wiadomo których. W historii Polski było kilka różnych legionów, w tym też takich, które obecnie uważa się za trefne. A więc których? Ale to i tak lepiej niż we Wrocławiu, gdzie plac PKWN zamieniono na plac Legionów. I tu jest szerokie pole do popisu. Można by zacząć od legionów rzymskich, a skończyć może na Legionie Kondora? Ale wracajmy do Świebodzic. W miejscu zburzonego pomnika Żołnierza Polskiego trwają wielkie roboty. Być może zamiast żołnierza polskiego, którego ranga spadła prawie do zera, stanie pomnik innych żołnierzy, np. z NATO? Na czele największa postać w pikielhaubie, białym płaszczu z czarnym krzyżem, a na pasie „GOTT MIT UNS”, aby przypomnieć chlubny rodowód przodującej siły w Europie, a obok mniejsze postacie satelitów. Na prawym skrzydle można będzie wkomponować mitologiczną scenę Parysa i Gracji. Sądzę, że całość zadowoliliby gusta wszystkich. Ale najwyższą cenę sklep firmowy „Śnieżki”. Przydałby się taki w moim osiedlu.

Już od pewnego czasu wszędzie słychać najpopularniejsze w Polsce słowo k.... Ma to swoje uzasadnienie. Otóż ostatnio panuje moda na chwalenie się przodkami do entego pokolenia, prawie że do Adama i Ewy. No, ale na to mogą sobie pozwolić tylko różni arystokraci. A czym ma się chwalić zwykły człowiek? Sprawa jest prosta. We wszystkich oficjalnych i mniej oficjalnych wypowiedziach wzywa się naród, aby sięgał do korzeni, no i sięgnął do matriarchatu, wspominając swoją praprababcię.

Proszę wybaczyć to trochę przydługie marudzenie, ale idzie ono do podwójnego numeru, więc i objętość moich rozważań jest podwójna.

Zbigniew Garbaczewski

UMIERAJĄCY REZERWAT

Wieś Kopcice leży zupełnie w lesie, w głównej części Puszczy Świętokrzyskiej, pomiędzy Odrowążem a Samsonowem. Kręte uliczki osady przywodzą na myśl ślad diabła, który kiedyś w śnieżną zadymkę zahulał na tym pustkowiu. Później na tych śladach powstała osada. Ale diabeł jeszcze długo tu gościł, „hajcując” w wielkich ogniskach, w których wypalano węgiel drzewny i prażono rudy żelaza.

W oddalonym o 2 km Szalasie w XVI–XIX w. działał rozwinięty przemysł żelazny. Jeszcze dziś w sennej i smutnej wsi (dwa razy pacyfikowanej przez hitlerowców) dociekliwie oko i przewodnicki język wędrowca odszukają nikle ślady żużla piecowego, kuźnic dymarskich i wielkiego pieca.

Zanim wyjdziemy z zakrętasów osady Kopcice w ciążący się dziesiątkami kilometrów las, trzeba wyjąć kompas, ustalić strony świata i kierunek naszego marszu. Idziemy dziką trasą na kierunek: Świnia Góra, Góra Piekła, Brama Piekla do Skarżyska-Kamiennej.

Początkowo las jest młody – to roczniki powojenne. W miarę zbliżania się do Świnie Góry okrążają nas coraz gęściej drzewa poważne – stare modrzewie, jodły, dęby, buki i sosny. Na przeredzonych mechaniczną piłą południowych stokach spotykamy skupiska

pysznej dwudziestoletniej jedliny – prawdziwe księżniczki lasu.

Świnia Góra to ostatnia zamieszkała leśniczówka w głębi puszczy, a i do tej leśnik dojeżdża tylko urzędować. Witają nas gwałtownym jazgotem trzy głodne psy. Po chwili węsają kanapki w plecach i już są natarczywie przyjazne. W powietrzu łapią każdy kęs rzucanego im chleba. Niestety, mamy go o wiele za mało.

Świnia Góra to również jeden z najpiękniejszych rezerwatów starodrzewia w Polsce.

Nie ma z kim rozmawiać, bo leśniczego nie ma, więc łamiemy konstytucję rezerwatu i wchodzimy doń, ażeby zobaczyć okaz cisa – pomnik przyrody. Po kilkudziesięciu metrach stajemy. To, co widzimy, wprowadza nas w osłupienie. Jak po przebyciu kataklizmu leżą w niezwykłej kottowaniu najwspanialsze okazy puszczy. Ponad połowa stanu drzew rezerwatu już nie żyje. Przerażające cmentarzysko olbrzymów. Ostatnie wielkie pokolenie lasu odchodzi. Nie ma następców. Przyczyna? Czas. Starość – brak sił do walki o przetrwanie.

Ten niecodzienny, smutny widok rezerwatu powinno się utrwalić przynajmniej na filmie. I to najlepiej zimą, kiedy oko kamery może sięgnąć głęboko w las. Później liście pozostałych drzew i podszycia utrudnią to znaczenie.

Bolesław Bętkowski

WALORY I CIEKAWOSTKI POPRADEKIEGO PARKU KRAJOBRAZOWEGO

Teren tego Parku obejmuje praktycznie cały Beskid Sądecki wraz z Górami Leluchowskimi. Jest to drugi obok Żywieckiego okazały obszarowy park krajobrazowy w Karpatach – o powierzchni (bez otuliny) 54 000 ha. Do czołowych jego walorów należy duża zasobność wód podziemnych i powierzchniowych, a zwłaszcza liczne źródła mineralne (ponad 100) o zróżnicowanym składzie chemicznym; w większości są to szczywy alkaliczne. Wody te występują w dolinach Popradu, Złockiego, Kryniczanki i Muszynki.

Pomimo znacznych przekształceń środowiska przyrodniczego Parku, a zwłaszcza rozwoju sztucznych zalesień – głównie dzięki wzorowej w przeszłości gospodarce hr. Adama Stadnickiego, w Beskidzie Sądeckim przetrwały pozostałości dawnej puszczy karpackiej w rezerwach przyrody „Barnowiec” i „Łabowiec” w Paśmie Jaworzyny Krynickiej oraz „Baniska” w Paśmie Radziejowej. Pierwszy z wymienionych rezerwatów powstał z inicjatywy samego Stadnickiego już w 1906 r.

Znajduje się tu aż 13 rezerwatów przyrody o łącznej powierzchni 400 ha chroniących przede wszystkim partie starodrzewu dolnego regla. Do wyjątkowych znakomitości należy rezerwat lipy szerokolistnej „Obrozyska” na górze Mikowej koło Muszyny, utworzony w 1919 r. Ten zespół lip jest uważany za relikw z okresu polodowcowego optimum klimatycznego. W „Obrozyskach” występuje przy tym wielka różnorodność chronionych gatunków roślin.

Drzewostan zajmuje aż 70% powierzchni i został zaliczony do lasów chronionych. Wśród zespołów leśnych dominują dolnoreglowe buczyny, zaś wzdłuż potoków – olszyna karpacka i fragmenty legów. Zabytkowe partie pasma Radziejowej porasta górnoreglowy bór świerkowy. Flora Parku to ponad 1000 gatunków roślin kwiatowych, wśród nich do szczególnie cennych zalicza się: wiele odmian storczyków, paproć jęczynnik zwyczajny w Paśmie Radziejowej oraz kilka gatunków alpejskich. Do zabytkowych zespołów zieleni należą parki Słotwiński i na Górze Parkowej w Krynicy oraz park w Żegiestowie.

Wśród świata zwierząt do odmian endemicznych należą między innymi: traszka karpacka i ryjkowce. Występuje tu równocześnie duża liczba cenniejszych zwierząt łownych (ryś, wilk, jeleń, dzik).

Niezwykłe są walory kulturowe Parku Popradzkiego, w tym zabytkowe założenia urbanistyczne o wielowiekowej tradycji (np. Stary Sącz, Muszyna), liczne obiekty sakralne i budownictwa ludowego kultury lemkowskiej, wreszcie folklor tutejszych grup etnicznych. Do niepowtarzalnych zaliczyłbym pozostałości kultury lemkowskiej, w tym cerkwie w Wierchomli Wielkiej, Zubrzyku, Żegiestowie Wsi, Andrzejówce, Miliku, Szczawniku, Złockiem, Krynicy Wsi, Muszynie, Tyliczu, Powroźniku, Leluchowie i Dubnem.

Wielkim magnesem ściągającym na teren Parku dziesiątki tysięcy kuracjuszy, turystów i wczasowiczów jest sądecki region uzdrowiskowy, do którego należą Krynica, Muszyna ze Złockiem, Żegiestów i Piwniczna, a jako potencjalne miejscowości uzdrowiskowe także Łomnica i Tylicz. Wspomnianym wyżej licznym źródłom wód mineralnych towarzyszą bogate zasoby dwutlenku węgla o zastosowaniu balneologicznym (suche kąpiele).

W waloryzacji składników przyrodniczych, krajobrazowych i kulturowych Parku Popradzkiego na uwagę, oprócz już przytoczonych, zasługują jeszcze następujące. Dolina Popradu stanowi jeden ze szlaków migracyjnych zwierząt (tzw. korytarz ekologiczny), którym przemieszczają się one z Niziny Węgierskiej na północ w stronę Karpat. Zróżnicowana rzeźba terenu, tj. krajobraz gór średnich, niskich i dolin, duże wysokości względne i znaczne nachylenie stoków związane z budową geologiczną, tworzą w Parku odrębność wybitną. Szczególnie atrakcyjny jest przełom Popradu w rejonie Żegiestowa (w projekcie – przyszły rezerwat krajobrazowy). Wysoką wartość krajobrazową posiadają także przełomowe odcinki Muszynki koło Tylicza. W Paśmie Jaworzyny Krynickiej odkryta została niedawno najgłębsza jaskinia w Beskidach, kwalifikująca się do objęcia ochroną pomnikową. W górnych partiach Pasma Radziejowej i Jaworzyny Krynickiej panują szczególnie dogodne warunki klimatyczne dla uprawiania turystyki narciarskiej i narciarstwa śladowo-biegowego.

A więc zapraszam do odwiedzenia Popradzkiego Parku Krajobrazowego i szczegółowego poznawania jego walorów.

Andrzej Matuszczyk



Zamkowe opowieści (7)

Zamek Karpień zbudowany został gdzieś na początku XIV stulecia, prawdopodobnie na miejscu jeszcze starszego gródka. Warownię postawiono na szczycie Karpiaka, wznoszącego się 758 metrów nad poziom morza. Pierwsza wzmianka o zamku pochodzi z 1337 roku. Miał on między innymi zapewniać spokój na jednej z odnóg tak zwanej Solnej Drogi, prowadzącej z Łądką przez wyraźne obniżenie, rozdzielające Trojak (766 m npm) i Królówkę (784 m npm), do Przełęczy Karpowskiej, przecinającej pasmo Gór Złotych między Kobylą Kopą (851 m npm) i Czernikiem (832 m npm).

Zamek zbudowano z kamienia. Miał on prawie 75 metrów długości i około 30 metrów szerokości i posiadał kształt nieregularnego czworoboku. Składał się z części wyższej i niższej. W części wyższej znajdowała się wieża, komnaty pana zamku oraz czworokątny dziedziniec ze studnią pośrodku. Natomiast w części niższej usytuowane były pomieszczenia dla załogi, stajnie i inne budynki gospodarcze.

W 1428 roku Karpień zdobyli i puścili z dymem oddziały husyckie. Po rychłej odbudowie stał się on jednak siedzibą rycerzy rozbójników. Dlatego też w 1443 roku siły wojskowe księcia ziębicko-opawskiego Wilhelma, tudzież miasta Wrocławia, zorganizowały przeciwko niemu specjalną wyprawę wojenną. 15 czerwca połączone wojska opanowały to zbójcekie gniazdo i ponownie je zniszczyły. Zamkiem władał wtedy słynny Hynek Kruschina, będący czeskim namiestnikiem królewskim w Kłodzyczynie i Ząbkowicach. Kruschina zmarł 4 marca 1454 roku.

Ale niestety, w ocalałych resztkach warowni sudeccy zbójnicy znajdowali schronienie jeszcze do 1513 roku. Dopiero bowiem wtedy zburzono ostatnie, porośnięte drzewami, zaroślami i mchem szczątki tej niechlubnej budowli. Od tego też czasu pozostawała ona w zupełnej ruinie.

Jednym z karpięńskich rozbójników był pewien rycerz z Czech. Jego prawdziwe imię poszło w zapomnienie. Potocznie nazywano go Täuscherem. Skupił on wokół siebie grupkę podobnie niecznych kamratów, których zawsze zabierał na swoje skryte, zbójcekie wypady. Wkrótce stali się oni postrachem całej rozległej okolicy. Kradli i rabowali bez żadnych skrępowań. Dopuszczali się najokrutniejszych gwałtów, nie oszczędzając ani brzemiennej kobiet, ani matek z odeskami na ręku. Nie wszyscy bowiem rycerze byli naprawdę rycerzcy.

Ale zdarzyło się raz, że zbójcecka kompania, powracając z nieco dalszej, udanej łupieżczej wyprawy, po przebyciu Skalnego Wąwozu wstąpiła na wypoczynek do niewielkiej

Lutyni. Rabusie rozeszli się po chłopskich chałupach, aby ugasić pragnienie, trochę odsapnąć i dać wypocząć strudzonym koniom. Sam rycerz zajeżdżał zaś do zagrody miejscowego sołtysa, który „przyjął” go z należnym szacunkiem. Do stołu podawała młoda, krągłolica, płowowłosa córka gospodarza.

No i stało się.

Rycerz, któremu w żaden sposób nie można było odmówić urody, tudzież „światowego obycia”, oraz niebieskooka, żyjąca na tak strasznym odludziu, krzepka wiejska dziewczyna szybko przypadła sobie do gustu. Rzecz jednak w pełni zrozumiała, że zakochani nie mogli

ściśle tajnych naradach, postanowiło zacząć się w jakimś ciemnym, leśnym pustkowiu i, jeśli to tylko będzie możliwe, pojmać lub w ostateczności nawet zabić wracającego na zamek zakochanego rozbójnika, tak bardzo uciążliwego dla okolicznej ludności.

Niestety, jeden z tutejszych drwali wypatrzył przygotowaną zasadzkę i kierując się litością nad rozmiłowaną w sobie parą, uprzedził na czas rycerza. Ten więc, wracając do swej warownej kryjówki, wzmógł czujność i szczęśliwie ominął zaczajonych chłopów. Po całonocnych bezskutecznym czatowaniu lutynianie wrócili do wsi zupełnie zdezorientowani.

Zakochany rozbójnik

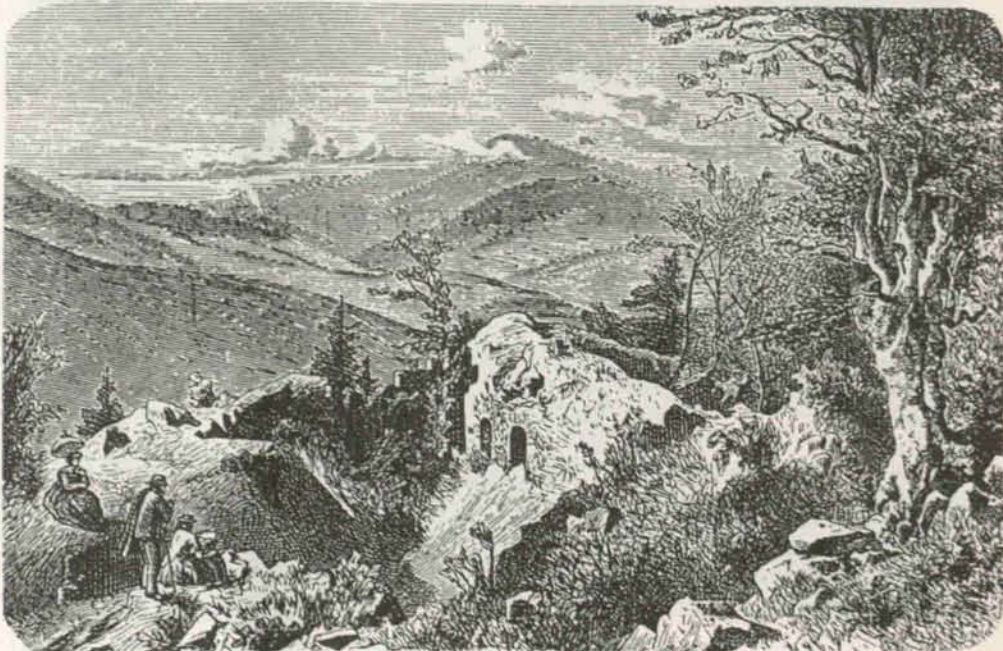
spotykać się jawnie, a do przemocy rozbójnik tym razem nie chciał się uciekać. Aby uspić więc czujność lutynian karpięński pan nakazał swoim kompanom oszczędzać tutejszych mieszkańców i w ogóle nie zajeżdżać do ich osady.

Sam tymczasem, kryjąc się w ciemnościach nocy, często pospieszał na rączym rumaku bocznymi tropinkami, prowadzącymi przez gęste górskie lasy na północ, do lubej dziewczyny. Kochankowie spotykali się w zacisznym ustroju, pośród wznoszących się na wschód od osady skał, zwanych przez miejscowych skalnych zamczyskiem.

Upłynęło sporo czasu, nim mieszkańcy wsi wykryli nocne wizyty niezwykle gościa. Paru odważniejszych mężczyzn, po długich,

Następnego dnia rycerz długo głowił się, jak wywieść w pole lutynskich kmiotków. Jawną rozprawę na razie traktował jako ostateczność. W końcu przyszedł mu głowę wprost szatański fortel.

Uśmiechając się do siebie rozbójnik zaczął przyprowadzić zaufanego kowala. W największej tajemnicy polecił mu podkuć na nowo swego rumaka, przybijając wszystkie cztery podkowy odwrotnie, przodem do tyłu. Dzięki temu, kiedy rycerz pojechał do oczekującej na niego w skalnym zamczysku dziewczyny, lutynianie, oglądając na miękkiej leśnej drodze ślady końskich kopyt, byli przekonani, że się spóźnili, a ich przeciwnik pewnie znajduje się już w zbójcekim gnieździe. Szli zatem niepocieszeni do domu.



Ruiny karpięńskiego zamku

I na odwrót, gdy nasycony miłością kochanek wrócił do siebie na zamek, chłopcy byli przekonani, że jest on w podlutyńskiej kryjówce, w ramionach oblubienicy. I czekali nadaremnie aż do świtu, po czym udali się do wsi zupełnie zbici z tropu, nie wiedząc w końcu, czy mają do czynienia z człowiekiem, czy też być może... z samym diabłem.

Ludzie wiejscy zawsze byli jednak uparci i zawzięci. Toteż dziwne te podchody trwały aż parę miesięcy.

Ale na tym ziemskim padole wszystko – oprócz ludzkiej podłości – musi się kiedyś skończyć. Zdarzyło się więc raz, że wyjeżdżając z podlutyńskiego skalnego zamczyska rozgorączkowany rycerz, żegnany przez ukochaną, nie zauważył, jak jego rumak, potykając się w ciemnościach o wystający kamienny próg, zgubił podkowę. Choć bardziej przytomna sołtyśówna chyba słyszała brzęk obsuwającego się po skale żelaza, gdyż w pewnym momencie przestała na chwilę machać chusteczką.

Nazajutrz z rana wierny sługa doniósł swemu panu, że jego koń nie ma jednej podkowy. Pewny siebie rycerz zlekceważył jednak tę niepomyślną wiadomość, nie docenił dociekliwości wiejskich przesładowców. Długotrwałe powodzenie zmysłowego fortelu uspiło jego czujność. I to był jego błąd, który mógł się przytrafić tylko naprawdę zakochanemu zbrojnikowi.

W tym samym czasie spiskująca grupka lutynian zastanawiała się nad zauważonymi tej nocy zagadkowymi końskimi śladami. Rezolutni chłopcy dość szybko pojęli, na czym polegał podstęp karpieńskiego zbrojki. Postanowili zatem czatować na niego przez całą noc. Nie byli tylko pewni, czy nie zmieni on swych nawyków. Nie zmienili. Przepuścili więc jadącego w kierunku Lutyni amanta i spokojnie oczekiwali na jego powrót.

Ale tej nocy nie zmrzył oka także lutynski sołtys. Nie mógł bowiem w żaden sposób zrozumieć, dlaczego jego córka nie poszła wieczorem do skalnego zamczyska. Rodzicielskie serce przeczuwało jakieś niebezpieczeństwo. Dziewczyna natomiast najspokojniej spała w swej izbie.

Tymczasem czatujący chłopcy o mały figiel nie przegapili niespodziewanie prędko powracającego tej nocy zakochanego rycerza. Zdołali jednak w porę się ukryć, a potem zniechęta napadli jeźdźcę i ściągnęli go z konia. Zbój stawiał dzielny opór, kilku napastników zranił, ale pchnięty widłami z tyłu przewrócił się na ziemię. Leżącego dobito.

x x x

W miejscu, w którym zakochany zbrojnik znalazł śmierć, straszy do dziś. Nocną zaś porą przez Rozdroże Zamkowe, między szczątkami wsi Karpno a ruinami warowni, często galopuje na oszalałym rumaku czarny jeździec. To cwałujący duch naszego bohatera.

Nie wiadomo tylko, czy gonią go wyrzuty sumienia za popełnione zbrodnie i przestępstwa, czy też żal za utraconą, rozkoszną, aczkolwiek chyba nie do końca oddaną kochanką.

Julian Janczak

WYDAŁO SIĘ!

Od wielu lat gnębiły mnie niejasne przypuszczenia co do sprawców zniszczeń poczynionych w przyrodzie naszych gór. I wreszcie wydało się. Sprawcami owych zniszczeń są turyści! Tak, to nie pomyłka, a dowiedziałem się o tym z artykułu zamieszczonego w kwartalniku „Parki Narodowe” 1/1992, zatytułowanego „Śnieżka we mgle”.

Rozumiem, że autor reprezentuje poglądy ludzi związanych z naszymi parkami narodowymi, w przeciwnym razie sformułowania zawarte w artykule nie mogłyby ukazać się na łamach kwartalnika. Autor opisuje walory przyrodnicze Śnieżki i chwala mu za to, a przy okazji wylewa kubek z pomyjami na nasze głowy. Oto fragment artykułu: *Turyści (...) sami jednak przyczyniają się do degradacji przyrody: śmiecią, hałasują, płoszą zwierzęta, wyrwywają rośliny, wydeptują dzikie ścieżki. Głupota, czy raczej nieświadomość spowodowana niską edukacją ekologiczną.* No właśnie – głupota czy nieświadomość kazały autorowi pisać takie bzdury, oto jest pytanie! Odpowiadam od razu – raczej nieświadomość, trudno bowiem być tak złośliwym, jak autor artykułu w „Parkach Narodowych” i posądzać go o to samo, o co nas posądza. Bądźmy więc wyrozumiali i wyjaśnijmy panu Gontarkowi, kto niszczy górską przyrodę. Wyjaśniam przeto w kolejności zarzutów z artykułu w „PN” – śmiecią śmieciarze, hałasują i płoszą zwierzęta ludzie prymitywni, wyrwywają rośliny wandale, a dzikie ścieżki wydeptują przeważnie zwierzęta. Faktem jest, że ścieżki te używane są przez ludzi, ale niekoniecznie są to turyści. Pan Gontarek miał zapewne na myśli rozmaite skróty wydeptywane w okolicach znakowanych szlaków poprowadzonych zakosami. Proszę się dobrze przyjrzeć, kto chodzi tymi skrótami. Najczęściej są to uczestnicy wieloosobowych wycieczek z kolonii i zimowisk, domów wczasowych, wycieczek, nad którymi nie panują organizatorzy i opiekunowie. Prawdziwy turyista szanuje znakowane szlaki na terenach parków narodowych, a jeśli z nich schodzi, to jedynie w sytuacjach awaryjnych, wymagających takiego postępowania.

Autor artykułu w „PN” przywalił nam jeszcze pod koniec swego dzieła pisząc o łanach pierwiosnki maleńkiej, która kwitła również na stokach Śnieżki, kwitła, bowiem została rozdeptana przez turystów.

Właściwie nie dziwię się takim

sformułowaniom, bo mało kto wie u nas, kto to taki turyista górski. W powszechnym mniemaniu każdy, kto opuści miejsce, w którym mieszka na stałe, jest turystą, tak więc wszyscy ludzie przyjeżdżający na wakacje w góry są turystami. W efekcie mamy oszalałymi liczbą, owe setki tysięcy, a nawet miliony „turystów” w Tatrach i Karkonoszach. Nic bardziej błędnego! W ogólnej ilości ludzi odwiedzających szczególnie atrakcyjne tereny górskie turyści stanowią około 10%. W takich miejscach, jak Śnieżka i Szrenica w Karkonoszach, Hala Gąsienicowa, Dolina Kościeliska w Tatrach, nie mówiąc o nieszczęsnym Kasprowym, turyści są prawie niezauważalni. Ale panowie z parków narodowych udają, że o tym nie wiedzą, albo rzeczywiście nie wiedzą, kto i po co przyjeżdża w góry. Będę powtarzał do znudzenia, że nie można używać wyrazu turyista w odniesieniu do wszystkich osób przebywających w górach. Także masowe narciarstwo „przywyciążowe” mylone jest z turystyką i to przez niemal wszystkich. Od dziennikarzy począwszy, na parkowcach i GOPR-owcach skończywszy. A gdy w górach dzieje się coś złego, używają wyżej wspomniani słowa turyści jak ścierki, nie zadając sobie trudu, by zrozumieć właściwe znaczenie tego słowa.

I na koniec jeszcze jedna uwaga. To nieprawda, że przyjeżdżamy w góry, by, jak sądzi pan Gontarek, *zaliczać kolejne szczyty*. Tym zajmują się wczasowicze i rozmaite grupy tzw. zorganizowane, nowicjusze i laicy, i to nie wszyscy. Jest też nieprawdą, że – jak czytamy – w „PN” – turyści *nie potrafią (czy nie chcą!) dostrzec piękna i ogromnych wartości przyrodniczych*. Jako poparcie mojej tezy niech posłuży kampania protestu przeciwko tzw. „kolorowemu zawrotowi głowy” w Bieszczadach, przeprowadzona przez środowisko turystów górskich, kampania autentycznie spontaniczna, przez nikogo nie organizowana i nie sterowana. Nasza postawa w niemałym stopniu przyczyniła się do ocalenia Bieszczadów przed zakusami „poprawiaczy” krajobrazu i „dobroczyńców” masowego wypoczynku.

Warto, by przedstawiciele parków narodowych pamiętali tamtą sprawę i postawę autentycznych, a nie „zawodowych” miłośników gór i zrewidowali swoje poglądy na temat turystyki i turyistów.

Juliusz Wystouch

Parę miesięcy temu na rynku wydawniczym ukazała się książka Urszuli Janickiej-Krzywdy *Kapliczki i krzyże przydrożne polskiego Podkarpacia* (Warszawa 1991). Niewielki nakład tej popularnonaukowej pracy z pewnością nie umożliwi skorzystanie z niej większości zainteresowanym problematyką dawnej kultury. Szkoda, bo jest to praca ciekawa, zakresem tematyki obejmująca zabytki sztuki sakralnej rejonów podgórskich południowej Polski. Na terenach tych występuje duża ilość przydrożnych pomników, za-

danych „problemem”. Zastanawiamy się może, dlaczego dana figura czy krzyż znajdują się w tym, a nie innym miejscu. W tradycyjnej kulturze nie wchodzi w grę kwestia przypadku. Każdy obiekt posiada własną historię, istnienie każdego związane jest z jakąś ideą. Wiele z nich ma za zadanie neutralizowanie wszelkiego zła. Wznosi się je tam, gdzie ono może się zagnieździć, gdzie może szkodzić człowiekowi. Szczególnie złą sławą cieszą się wszelkie rosnące dróg, granice osad i wsi. Są to tereny niczyje, często leżą-

miejsca zgonu i pochówku ludzi niepojednanych przed śmiercią z Bogiem, mogiły samobójców, ofiar tragicznych wypadków. We wszystkich tych miejscach stawia się przydrożny obiekt sakralny. Wiele kapliczek upamiętnia historyczne wydarzenia, miejsca wielkich bitew. W okolicach Żywca mamy sporo takich śladów po „potopie” szwedzkim.

Na uwagę zasługują również „pamiętki” po konfederacji barskiej, znajdujące się w okolicach Kalwarii Zebrzydowskiej i Lancko-

PAMIĄTKI Z PRZESZŁOŚCI

zwyczaj pochodzących z XIX i pocz. XX w. Wśród nich znajdują się kapliczki, krzyże i figury przydrożne, drewniane i kamienne, charakteryzujące się wielością form i różnorodnością przedstawień ikonograficznych. Mieszczą się one przy drogach i na ich rozstajach, na granicach miejscowości, stoją w polu, na wzgórzach, w lasach, koło kościołów, na cmentarzach. W swoim wnętrzu kryją obrazy i rzeźby przedstawiające Chrystusa, Matkę Boską oraz postacie wszystkich świętych. Mało kto szuka odpowiedzi na pytanie dotyczące sensu istnienia tych obiektów. Żyjemy dziś w innym świecie, w którym o nawiązaniu do tradycji wspomina się okazjonalnie, w wigilię Bożego Narodzenia lub w Wielkanoc. Nie uświadamiamy sobie faktu, że dawniej ludzie też „po swojemu” organizowali rzeczywistość, też stykali się z problemami, niejednokrotnie takiej samej natury, jak my dzisiaj, w stosunku do których byli zmuszeni zająć określoną postawę. Tworzyli oni własny świat, porządkowali w właściwy im sposób „mikrokosmos” ulicy, wsi, okolicy, w której przyszło im żyć. Posiadali uregulowany system norm społecznych, wierni byli zwyczajom, rytuałom, nakazom i zakazom. Ludzie ci swoją psychiką, strukturami myślowymi zasadniczo nie różnili się od nas. Wśród „pamiętek”, które po nich zostały, znajdują się przydrożne obiekty kultu. Są one nierozdzielnie związane z ludową religijnością – formą dawnego światopoglądu, łączącego elementy oficjalnej, głoszonej przez Kościół religii z pierwiastkami wierzeniowo-magicznymi. Dzięki obecności tych ostatnich człowiek tworzy własny obraz rzeczywistości, świata zamieszkanego przez dobre i złe moce, przed którymi należy się bronić lub które trzeba zjednywać. Do złych sił należą demony. Na przeciwnym biegunie znajdują się postacie dobre, święte, należące do świata „sacrum”. Ich właśnie działanie pokonuje „złego”, uświęca człowieka, rzeczy, przestrzeń. Święty jest patronem, opiekunem, obrońcą, lecz jego działanie jest skuteczne tylko wtedy, gdy jest on namacalnie obecny. Żeby zapewnić sobie tę obecność, utożsamia się świętego z jego wizerunkiem, rzeźbą i obrazem (jest to właściwe dla katolicyzmu i prawosławia, ale nie dla protestantyzmu). Wizerunki przejmują moc konkretnych świętych. Umieszcza się je tam, gdzie oczekuje się działania określonych patronów, tam gdzie możliwy jest ich bezpośredni kontakt z

ce poza zasięgiem zbawionego głosu dzwonów kościelnych. Granica jest przejściem między światem „swoim” i „obcym”. Jako obszar „pomiędzy” staje się miejscem gromadzenia złych mocy, spotkań czarownic i diabłów. Tu czatuje szatan na ofiarę chętną do podpisania cyrografu, tu płaczą się dusze potępieńców. Aby te piekielne moce poskromić, wznosi się na rozstajach i granicach osad kapliczki i krzyże. One tworzą magiczną zaporę, za którą człowiek czuje się bezpiecznie. W pobliżu kapliczki wyrzuca się wszelkie zło. Przy niej grzebie się zwłoki samobójców, skazańców, niechrześcijańskich dzieci, by nie kałżały obszaru wsi. Tu „odnosi” się chorobę, wyrzuca czary, wykonuje doraźne egzekucje. Pokutujące dusze i demony obierają sobie także inne siedziby. W rzekach czyhają na przechodzących topielce, pola i nadrzęczne zarosła są miejscem pobytu niebezpiecznych boginek. Widmo pokutującej duszy zjawia się w miejscu śmierci, nocą czatuje na spóźnionych przechodniów diabeł. Niebezpieczne są

rony. Niektóre obiekty związane są z miejscami obecności błogostawionych i świętych. Na uwagę zasługują figury bł. Szymona z Lipnicy Murowanej na Orawie i kapliczki w Beskidzie Wyspowym upamiętniające bytność świętych: Świerada, Justa, Urbana i Katarzyny. Wiele obiektów powstaje w miejscach cudownych wydarzeń.

Najwięcej jednak jest fundacji wotywnych. Stawia się je prosząc o Bożą opiekę, dobrą dolę, odwrócenie nieszczęścia. Powstają jako forma dziękczynienia za wysłuchane modły, są następstwem ślubowania uczynionego w jakimś dramatycznym momencie życia jednostki czy gromady. Dla wielu obiektów jedynym przekazem o przyczynie ich powstania jest miejscowa tradycja. Tak jest w przypadku fundacji zbójnickich. Zbójnikom przypisuje się między innymi kapliczkę w Zawoi Policznej u stóp Babiej Góry, ufundowaną za zbójnickie pieniądze jako przebłaganie za grzechy. Liczne są figury wznoszone ku czci świętych patronów, zwłaszcza orędowników w wypadku klęsk żywiołowych. Najczęściej obiekty poświęcone są św. Janowi Nepomucenowi (patron tonących, chroni pola przed powodzią i gradobiciem) oraz św. Florianowi (chroni zabudowania przed uderzeniem pioruna, pożarem). Figury pierwszego ustawia się nad ciekami i zbiornikami wodnymi, wizerunki drugiego znajdują się na budynkach i w ich wnętrzach.

Przyczyn powstania obiektów kultu jest wiele. Oznaczają się one też i różnorodnością formy. Obok figur prostych, prymitywnych znajdujemy dzieła nawiązujące sposobem wykonania do sztuki profesjonalnej. Takie spotykamy na Dolnym Śląsku. Szczególnie obfituje w przydrożne obiekty Ziemia Kłodzka. Niestety, bardzo często niewiele możemy o nich powiedzieć. Nie znany ich historii, nie wiemy prawie nic o ich twórcach, o rodzaju intencji, w jakiej zostały ufundowane. Niekiedy w pamięci okolicznej ludności pozostały mówiące o nich podania i legendy. Ten specyficzny rodzaj historii nie zawsze jest zgodny z rzeczywistością, zabarwiony bywa fantazją ludzi, którzy własnym sumptem uzupełniają brakujące fragmenty przeszłości. Niestety, i ten rodzaj wiedzy staje się dla nas coraz bardziej nieuchwytny. Odchodzi wraz ze śmiercią starszego pokolenia. Jest więc możliwe, że wkrótce przydrożne pomniki staną się dla nas jedynie anonimową pamiętką z przeszłości.



Kapliczka w Kłodzku przy drodze do Bystrzycy Kłodzkiej
Foto: Archiwum M. Tarnawy

Kartka z Chyżnego

Przedostatni dzień lutego. Rankiem dojeżdżam do wsi. Sceneria dość niecodzienna, gęsta mgła spowiła wszystko, z obu stron drogi piętrzą się metrowe zasy śniegu, promienie słoneczne powoli przebijają się przez mgłę tworząc niesamowitą poświatę, samo słońce sprawia wrażenie krążka podobnego do rozpalonego metalu.

Odwiedzam proboszcza o. Michała Józefa Wojnarowskiego – karmelitę. Podczas długiej rozmowy, przy doskonałej kawie ze śmietanką, wspominamy historię powstania izby regionalnej, którą obecnie się opiekuje. Powstała po przeniesieniu siedziby plebanii do nowego murowanego budynku; stara plebania, nadająca się wówczas do intensywnego remontu, przeznaczona została na skład zabytkowych „dziadów”, jak to miejscowi czasem mówili. Ale właśnie w ten sposób została uratowana, powoli wykryształizowała się jej funkcja jako nierejestrowanej izby regionalnej, w której zgromadzono przez lata zbierane po wsiach orawskich: łyżniki, listwy, obrazy, rzeźby i świątki, sprzęty gospodarcze, ornaty kościelne, jasełka, chorągwie i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Zbrane obecnie w trzech odmalowanych salach oddają jakiś niecodzienny koloryt tego miejsca. O. Michał zamierza podczas wizytacji kanonicznej zabiegać o objęcie izby statusem filii muzeum diecezjalnego, pewnie zostałyby też kuszyszem i miałby prawny tytuł do ochrony zabytków, a wiele byłoby jeszcze do zrobienia i roztoczenia ochrony nad innymi obiektami. Chciałby po sobie zostawić w Chyżnem izbę zarejestrowaną i ze zbiorami zinwentaryzowanymi.

Marzy o ściągnięciu ze swoich rodzin-

nych stron (okolice Jasła) zabytkowego wiatraka, który mógłby tu pracować zamieniony na małą elektrownię wiatrową. Na moją uwagę, że wprowadziłby obcy element na Orawę, odpowiedział: jeżeli tam ma ulec zniszczeniu, niech tu postoi jeszcze i popracuje ku zadowoleniu chyżnian.

Nie tylko parafialna izba muzealna była celem mojego przyjazdu. Jeszcze bardziej interesowało mnie, w jakim stanie są dwie stare chałupy orawskie. O. Michał trochę mnie uspokoił – jeszcze stoją i są dalej użytkowane. Po-
ziliśmy je oglądnąć.

Pierwsza z nich to jedna z niewielu ostatnich zamieszkałych wyżek orawskich (bodajże jedna z czterech). Wita nas gościnnie w jej progach Maria Malysowa, żwawa staruszka, urokliwie rozmowna. Chałupę zbudował jej dziad, Tomasz Sobczak, jak na belce zapisał: „dnia 7^{go} Junii 1869”, podpisał się „Sopczak”. Biała izba, prawdziwie orawska, przenosi nas o dziesiątki lat wstecz. Stara piękna listwa wzdłuż całej ściany, wkoło pozatykane i wiszące stare oleodruki i szalki. W samym rogu zwracają moją uwagę dwa drukowane obrazki, równie stare, jak ta chałupa, co potwierdza gaździna. To obrazki Madonny z Dzieciątkiem i św. Barbary nabyte na Jasnej Górze. Potwierdzają odwieczny szlak pielgrzymkowy Orawiaków do sanktuarium MB Częstochowskiej. Wyżka kryta jest słomą, mocno już sfatygowaną, sprasowaną przez deszcze i śnieg. Od spodu z przedwyszcza zaobserwować możemy misternie zaplecione słomiane „warkocze” przymocowujące strzechę do belek.

Druga z chałup to prawdziwa sensacja. Znajdujemy ją pośród innych „murowanych

bloków” bez smaku i chyba na wyrost potrzeb. Zawsze intrygowało mnie, po co dzisiejszym gazdom tyle pięter, tyle pokoi na wysoki połysk, nota bene przeważnie zamkniętych na klucz, gdyż cała rodzina większość dnia spędza w jednym lub dwóch najwyżej pomieszczeniach. Chałupka jest kurna, czy to nie jest przypadkiem ostatnia zamieszkała na całym Podhalu chałupa? Gospodarzy w niej, zdaniem o. Michała, honorny Orawiak Jan Żołna. Ze wzruszeniem wita nas i od razu dziękuje za odwiedzinę, wyraźnie ceni sobie wizytę Ojca. Przerwywamy mu skromny posiłek obiadowy, za co przepraszamy, ale zachwycamy się od razu izbą czarną i białą. Dym gryzie w oczy, jest półmrok, ściany osmolone na czarno, aż świecące. W drugiej izbie znów stara listwa i sporo naprawdę starych świętych oleodruków. Na belce uwiecznił się po nasze czasy pierwszy właściciel: Stefan Capjak („20 Juni 1897”).

Na zewnątrz obserwujemy, jak przez strzechę na całej powierzchni dachu przenika dym. Nie przeczę, ta chałupa robi na nas wrażenie. Jednocześnie z troską patrzymy na jej nie najlepszy już stan.

Obok sąsiedniej zagrody widzimy, jak za gaździną biega oswojony jelonek. Musi go pilnować do tego stopnia, aby w niedzielę nie poszedł za nią do kościoła. Z wypowiedzi gaździny wyraźnie cieszy się o. Michał, któremu marzy się taki jelonek lub sarenka biegająca po jego zagrodzie.

Wracając zwracam jeszcze uwagę na starą przydrożną figurę z warsztatu białopotockiego z zachowanym charakterystycznym piaskowcowym ogrodzeniem, przedstawiającą Chrystusa Dobrego Pasterza. Przy okazji Ojciec z dumą informował, że zlecił już artyście z Krakowa odnowę wszystkich figur chyżniańskich. Tak więc może przy następnej wizycie w Chyżnem będę mógł zachwycić się ich odnowionym pięknem.

Na koniec mojego pobytu wspomniamy jeszcze innego karmelitę śp. o. Kazimierza Staszczaka, który zasłynął wprowadzeniem u chyżnian zacnego zwyczaju – dotąd przed wejściem do kościoła wszyscy gruntownie czyszczą buty. Miotły, tak dziwiące przyjeźdźnych, stoją rzędkiem oparte o mur kościoła, a wewnątrz aż lśni, tak czystego kościoła nie zobaczymy nigdzie w Polsce, a może i na świecie! O. Kazimierz słynął też z obcesowego witania obcych we wsi, „dobrotliwie” pytał: a co idziecie ukraść? Osoby o mniejszym poczuciu humoru obrażały się.

Czas jednak żegnać się z cudownie gościnnym Ojcem. Na odjeźdnym martwimy się jeszcze tymi chałupami, jak długo przetrwają, kto uchroni je przed zniszczeniem, czy znajdzie się mecenas, który zachowa je in situ dla innych?

Ryszard M. Remiszewski



Dolina Pięciu Stawów – Wielki i Przedni Staw. Foto: Zdzisław J. Zieliński

Chełmowa Góra

Taką nazwę nosi samotne, niewysokie (351 m) zalesione wzgórze w Górach Świętokrzyskich, położone na północ od Nowej Słupi. Turyści zwykle wędrują z tej miejscowości szlakiem niebieskim na Święty Krzyż, a dość rzadko szlakiem czarnym na Chełmową Górę, i dalej, do romańskiej rotundy w Grzegorzowicach. Święty Krzyż (Łysa Góra) to oczywiście Łysogóra, Chełmowa Góra natomiast to ostatnie wzgórze równoległe do Łysogór Pasma Kłownowskiego. Zbudowana jest z piaskowców dewońskich, a więc skał młodszych od kambryjskich kwarcytów Łysogór.

Na Chełmowej Górze znajduje się rezerwat przyrody, określane często jako najstarszy w Polsce. Nie jest to określenie całkowicie prawdziwe. Powstał w czerwcu 1920 r. i jest niewątpliwie pierwszym rezerwatem utworzonym w odrodzonej Polsce, jak również pierwszym rezerwatem utworzonym w byłej Kongresówce. Na terenach byłego zaboru pruskiego niektóre rezerwat powstały jednak jeszcze przed I wojną światową, np. w obecnym woj. bydgoskim „Cisy we Wierzchlesie”, „Linie” i „Mętne”.

W 1920 r. nie było w Polsce żadnych aktów normatywnych dotyczących ochrony przyrody, a przynajmniej nie było ich w tej części Polski, bo znów np. w Galicji czy w Poznańskim honorowano przepisy z czasów zaborów. W czerwcu 1920 r. Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych wydało zarządzenie wstrzymujące wszelkie prace gospodarcze na Chełmowej Górze. Tak powstał tu rezerwat. Później wzięto pod ochronę część Puszczy Białowieskiej. Ponieważ przepisów dalej nie było, 29.12.1921 r. wyłączono po prostu z gospodarki leśnej część tej Puszczy i zaczęto ją nieformalnie nazywać Białowieskim Parkiem Narodowym. Nazwa ta została zatwierdzona dopiero w 1932 r.

Ponieważ opracowań na temat ochrony przyrody jest w Polsce dość dużo, przejdę do Chełmowej Góry. Jest to dziś rezerwat wchodzący w skład utworzonego w 1950 r. Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Nie łączy się jednak z głównym obszarem Parku – od skraju Puszczy Jodłowej dzieli skraj rezerwatu odległość około 2 km w linii prostej. Przez długie lata był to rezerwat ścisły, utworzony dla ochrony modrzewia polskiego. Miał powierzchnię 182,65 ha. W 1954 r. rezerwat ścisły zmniejszono do 13,36 ha, przyjmując na pozostałym obszarze ochronę częściową. Wystąpiło bowiem bardzo niepokojące zjawisko – brak odnawiania. Dziś w rezerwacie rosną wyłącznie stare, 200-letnie, potężne modrzewie. We wrześniu 1991 r. na odcinku szlaku od wejścia w las aż do szczytu znalazłem jeden młody modrzew, a i to uschnięty. Coś więc jest źle. Modrzew dla odnawiania się musi mieć światło. Może pomogą cięcia pielęgnacyjne rozpoczęte w 1986 r.

Modrzew polski (*Larix polonica* Rac.) został jako oddzielny gatunek wyodrębniony właśnie tu na Chełmowej Górze w 1890 r. przez prof. Mariana Raciborskiego. Ponieważ jest po-

dobny do modrzewia europejskiego (*Larix europea*), wyodrębnienie to w oddzielny gatunek jest często kwestionowane. Początkowo myślało, że modrzew polski rośnie tylko w Górach Świętokrzyskich, ale później znaleziono go również w Beskidach, Pieninach oraz w pojedynczych miejscach w innych regionach kraju. W Tatrach występuje wyłącznie modrzew europejski, także w niektórych partiach Beskidów.

Modrzew polski, jak i inne modrzewie, zrzuca igły na zimę. Rzadko rośnie prosto, zwykle jego pień jest „szablasto wygięty”, co jest oczywiste wadą z punktu widzenia gospodarki drzewnej. Największe modrzewie na Chełmowej Górze mają pierśnicę około 1,6 m i wysokość do 35 m.

Mieszany las na Górze Chełmowej, dość cienisty i gęsty, ma swój nastrój. Są jednak miejsca, gdzie nie rośnie nic oprócz starych modrzewi – tam wzrok sięga nieco dalej. Spotyka się tu wyjątkowo dużo mrowisk. Nie jest prawdą, że pod każdym drzewem znaleźć można mrowisko, ale są miejsca, gdzie w zasięgu wzroku jest ich kilkanaście.

W najwyższym punkcie kopuły Chełmowej Góry stoi przy szlaku pomnik z czerwonego piaskowca z napisem: *Profesorowi Marianowi Raciborskiemu – Wielkiemu Przyrodnikowi – Badaczowi Modrzewia Polskiego – w 100 Rocznicę Urodzin – Polskie Towarzystwo Leśne. Wrzesień 1963 r.* Pomnik ten został wykonany według projektu inż. architekta Barbary Borsy-Zielińskiej, a uroczyste odsłonił go 22.09.1963 r. prof. Edmund Massalski – najwybitniejszy krajoznawca świętokrzyski. W uroczystości tej wziął udział m.in. prof. Władysław Szafer i dr Tadeusz Szczepny. Było to podczas Sesji Naukowej zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Leśne.

Wspomniany czarny szlak turystyczny prowadzi dużym półkolem z Nowej Słupi w Pasma Jeleniowskie: Nowa Słupia – Chełmowa Góra – Grzegorzowice (dwór – 8,5 km) – Walsnów (10 km) – Skoszyn (12 km) – Szczytniak (16 km). Ta ostatnia góra (554 m) jest najwyższym wzniesieniem Pasma Jeleniowskiego i słynie z pięknych gołoborzy. Czarny szlak łączy się tu z czerwonym, głównym szlakiem świętokrzyskim. Wszystkie szlaki znakowane i nieznakowane w Górach Świętokrzyskich można „zaliczyć” albo na GOT, albo na OTP.

Nazwa Chełmowej Góry i jej samotne położenie nasuwają przypuszczenie, że mogło tu istnieć sanktuarium pogańskie. Od Łysej Góry, dawniej zwanej Łyscem, w linii prostej jest z wierzchołka Chełmowej Góry 5 km. Byłaby tu więc analogia z zespołem Ślęza – Wieżyca – Radunia. Brak jest jednak trzeciego sanktuarium. Najprawdopodobniej istniało ono w Paśmie Jeleniowskim – może na Szczytniaku lub Jeleniowskiej Górze.

Okolice Chełmowej Góry należą do najlepiej zbadanych przez archeologów w Polsce. Zajmowali się oni tu jednak głównie gigantycznym zagłębieniem hutniczym, jakie działało na

przełomie er i w pierwszych wiekach naszej ery między Łysogórami a Kamienną. Zbadano również dokładnie pozostałości sanktuarium na Łyscu. Na Chełmową Górę jednak archeolodzy nie zajrzeli. Jeśli nawet istniały tu kiedyś kultowe wały, to dziś są one słabo widoczne. Najbardziej potrzebny jest tu w pierwszym rzędzie nie archeolog, ale geodeta, gdyż tylko dokładne pomiary geodezyjne są w stanie wykazać, czy istniejące tu dziś nierówności terenu mają postać wałów otaczających dawne sanktuarium.

Pochodzenie nazwy Chełmowej Góry jest jasne – do dziś „hołm” w języku rosyjskim to wzgórze. W Polsce jednak nazwami Chełm, Chełmska Góra, Chełmowa Góra nazywano samotne wzgórze, na których zwykle dziś stoją kościoły lub znajdują się wały określane jako grodziska. Można przypuszczać, że nie są to jednak wały obronne, ale kultowe, zaś zwyczaj stawiania kościołów na miejscu dawnych sanktuariów pogańskich jest powszechnie znany. Klasykami przykładami mogą być Ślęza i Łysa Góra.

Przykładów mogę podać kilkadziesiąt. Oto Chemska Góra na Śląsku Opolskim, zwana częściej Górą Świętej Anny. Oto Góra Chełmska nad Koszalinem (137 m) – do 1530 r. centrum pielgrzymek katolickich. Wzniesione na nowo sanktuarium katolickie odwiedził w 1991 r. Jan Paweł II. Miasto Chełm (niegdyś Lubelski, dziś wojewódzki) – pośrodku miasta na tzw. Górze duży barokowy kościół. Chełmno – wieś w woj. poznańskim w gminie Pniewy – na zachód od wioski odosobnione wzgórze Chełm (131 m), a na nim kaplica z 1785 r. Nie znam Chełmca nad Wałbrzychem, nie byłem na nim, ale znam Chełmiec będący dziś przedmieściem Nowego Sącza. Na Chełmowej Górze znajduje się grodzisko.

Chełmce w Górach Świętokrzyskich – w najwyższym punkcie wsi stoi na wzgórze z daleka widoczny barokowy kościół. Jest on kościołem parafialnym dla Oblegorka i dlatego na cmentarzu spoczywa tu m.in. syn i synowa Henryka Sienkiewicza. Inne Chełmce – 9 km od Kalisza. Dziś na wgrórze 173 m stoi neogotycki kościół z końca XIX w., ale według tradycji wznosił się tu pierwszy kościół w Kaliskiem. Przedtem był to ośrodek kultu pogańskiego. Listę można by długo kontynuować. Nazwę Chełm nosi kilka, można nawet kilkanaście gór w Beskidach i na Pogórze Beskidzkim. Polecam tu znakomitą książkę Franciszka Kotuli *Pogórze Rzeszowskim błędząc* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974). Natomiast górą Chełmo koło Przedborza zajmę się kiedyś oddzielnie.

Całą tę listę przytoczyłem, aby z jednej strony zainteresować czytelników mało znanym tematem, a z drugiej wykazać, że Chełmowa Góra w Górach Świętokrzyskich z racji swojej nazwy i samotnego położenia mogła być niegdyś sanktuarium pogańskim.

W 1931 r., kiedy prezesem krynickiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tarzańskiego był dr Wacław Graba-Łęcki (późniejszy wiceprezydent Warszawy), na Jaworzynę Krynicką sprowadzono kilka komisji celem ustalenia lokalizacji przyszłego schroniska.

Prezes zaproponował ówczesnemu sekretarzowi Oddziału PTT w Krynicy Janowi Kamykowi społeczny nadzór nad budową obiektu. Z chwilą ostatecznego zakończenia budowy i otwarcia schroniska w 1935 r. budynek został przejęty na zasadzie dzierżawy przez Marię i Jana Kamyków, a schronisko otrzymało nazwę i imię Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jakie były związki Piłsudskiego z Jaworzyną i samą Krynicą? Pierwszy Marszałek Rzeczypospolitej odwiedził osobiście ten obiekt przebywając w Krynicy w 1934 r. Mimo że schronisko nie było jeszcze oficjalnie uruchomione, można już było w nim zamieszkać. Piłsudski przybył na Jaworzynę wraz z żoną, córkami i osobistym adiutantem, w towarzystwie prezesa krynickiego

Oddziału PTT. Pobyt Marszałka w schronisku został zaznaczony w sposób zgoła niezwykajny. Adiutant Józefa Piłsudskiego wraz z dr. W. Graba-Łęckim zasadzili tuż obok schroniska kilka limb. Wielu krynickich działaczy w pełni potwierdza to zdarzenie.

W sali jadalnej umieszczono wykonaną w brzozie tablicę z podobizną Marszałka. Józef Piłsudski przebywał zresztą kilkakrotnie w Krynicy wraz z żoną Aleksandrą i córkami, zamieszkując w obecnym „Starym Domu Zdrojowym”, zwanym dawniej „Dworcem Zdrojowym”, a mieszczącym się przy słynnym krynickim deptaku.

Częsty pobyt Marszałka pod Jaworzyną sprawił, że w 1935 r. władze miejskie nadały Józefowi Piłsudskiemu i jego żonie „Honorowe Obywatelstwo Krynicy”, którym wówczas mogło się poszczycić niewielu ludzi, wśród nich prezydenci Rzeczypospolitej – Stanisław Wojciechowski i Ignacy Mościcki.

Po śmierci Piłsudskiego jego związki z Krynicą zostały uświetnione dodatkowo. Jedną z głównych ulic uzdrowiska, nazywa-



Na dworcu w Krynicy – zima 1934 r.

Związki Józefa Piłsudskiego z Jaworzyną Krynicką



Marszałek J. Piłsudski w Krynicy w 1924 r. z córką nazywaną pieszczotliwie „Malinką” lub „Jagódką”. Trudno dociec ze szcążkowej dokumentacji, która to panna jest na zdjęciu

na dawniej Lipową, przybrała Jego imię. W uroczystości poświęcenia nowo otwartej kolei linowo-terenowej na Górę Parkową (741 m) nad Krynicą 19.12.1937 r. brała między innymi udział Aleksandra Piłsudska, odwołując się wówczas ponownie do Jaworzyny.

W 1967 r., na fundamentach spalonego podczas okupacji schroniska, wzniesiono nowe, nazywając je „Pod Niedźwiedziem”. Aż do 1989 schr. PTTK na Jaworzynie Krynickiej czekało, aby ponownie przywrócić imię prawowitemu patronowi. W tym też roku Komitet Założycielski Towarzystwa Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego zwrócił się do Oddziału PTTK w Krynicy z prośbą o formalne przeprowadzenie sprawy. Stosowną uchwałę podejmuje Podkomisja Kultury i Historii Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK w Krakowie i 7.05.1989 r. odbyła się na Jaworzynie, przy dużej pomocy Uzdrowskiego Zakładu Górniczego przy PPZUKP w Krynicy oraz szerokiego grona działaczy górskich, wielce podniosła uroczystość.

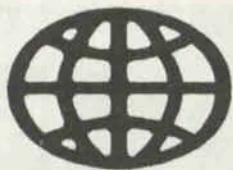
Mimo niespodziewanie znacznej pokrywy śniegu oraz chłodu nietypowego dla tej pory wiosny, na Jaworzynę Krynicką przybyło 80 osób. Po mszy, odprawionej w Ośrodku Kultury Turystyki Górskiej PTTK, i

okolicznościowych przemówieniach, na frontowej ścianie schroniska umieszczono wykonaną w drewnie tablicę z napisem: *Schronisko PTTK na Jaworzynie Krynickiej Imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego – wys. 1060 m n.p.m.* Wnętrze sali jadalnej schroniska zdobi reprodukcja portretu Piłsudskiego z białą-czerwoną wstęgą.

W taki oto sposób pierwszy Marszałek Rzeczypospolitej po niemal pięćdziesięciu latach powrócił na Jaworzynę Krynicką. A zasadzone niegdyś limby? Do chwili obecnej zachowała się tylko jedna, która cieszy oczy turystów odwiedzających „świętą górę” Krynicy. Pozostałe zginęły, przepadły, podobnie jak podobizna Marszałka w brzozie z dawnego schroniska.

A co do innych ludzi na Jaworzynie, szczególnie sławnych i wartych odnotowania: w księdze pamiątkowej Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej PTTK odnaleźć można między innymi wpisy Jana Kiepurę i Marty Eggerth oraz księżniczki holenderskiej Juliany wraz z małżonkiem Bernardem.

Marek Piechowicz



GLOBTROTER



4 lipca 1991 r.
godz. 0:03

Właśnie wybita północ – najbardziej złowieszcza pora. Dwa cienie bezszelestnie skradają się wzdłuż drewnianego płotu otaczającego budowę. Przytłumione mgłą światło księżycy słabo oświetla drewnianą płytę z napisem „Budowę prowadzi FIŃSKA FIRMA...” Oderwawszy deskę złodzieje dostają się do środka. Mija minuta, dwie, pięć... I oto są z powrotem. Teraz jednak niosą coś w rękach. Ale co? Na chwilę ostre światło latarki oświetla tajemniczych typów. W rękach mają coś różowego.

co skupuje wszystkie stare spadochrony. Nieprzydatne już do lotów, więc po co? Pojawiają się najbardziej nieprawdopodobne myśli. A co będzie, jeśli przygotowują desant? Desant? Na dziurawych spadochronach?! Całe lotnisko w gorączce. Od nierozwiązywalnej zagadki zaczyna boleć głowa.

6-7 lipca tego samego roku

Miejsce akcji – niewielkie wysypisko śmieci koło fabryki wyrobów z tworzyw sztucznych. Przez dwa dni kilku ludzi starannie obserwuje całą jej okolicę... I w końcu następuje

kajaku? Jaką wybrać trasę, skąd zdobyć sprzęt? Tacy właśnie zwykli ludzie, studenci jednej z moskiewskich uczelni, zbierają się u mnie w domu w pierwszym dniu lipca. Trzech chłopaków i trzy dziewczyny. Odsapnąwszy po sesji urządzili naradę wojenną. Pierwsze pytanie: „dokąd jedziemy?”. Problem w tym, że w Karelii dużych i małych rzek jest przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy. Jak przyjemnie rozłożyć mapę, zamknąć oczy, położyć palec i powiedzieć: „Jedziemy tu” (a potem otworzywszy oczy zobaczyć, że się trafiło w sam środek Sahary, Rów Mariański albo prosto w głąszkę

Jak z niczego zrobić wszystko

Spacery przy księżycu

Ten sam dzień
godz. 3:07

Niewielka podmoskiewska ferma ptasia. Dwie (już inne, ale niemniej zagadkowe) osoby wchodzi do kurnika. Jakąż to kradzież wymyślili? Stanąwszy na czworakach nieznajomi przez godzinę pelzają po ptasim wybiegu. Czego szukają? Może gdzieś tutaj tkwią zakopane skarby armii Napoleona? A może dawni książęta schowali tu bogate kosztowności? Tak czy inaczej, równo po godzinie dwa cienie opuszczają kurnik, unosząc na plecach ogromny wór. Ogromny, ale zadziwiająco lekki. Zdaje się, że wypchany...

5 lipca tego samego roku
godz. 10:15

W jednym z największych moskiewskich sklepów – „Dietskimi mirze” – wybucha panika. Z ust do ust ludzie przekazują sobie szepcąc straszne słowo „mafia”. Po kolejkach rozchodzi się dziwna wiadomość: w dziale „Złota rączka” ktoś w niewiadomym celu wykupił wszystkie zestawy „Szyjemy dziecięcą plecak” (dla dziecka 7-8-letniego). Niezrozumiałe zawsze niepokoi, a już coś takiego... Nie inaczej, tylko podstęp mafii. Panika narasta jak lawina i oto ostatni klient spieszy do wyjścia.

Ten sam dzień
Około południa

Niewielkie lotnisko na skraju miasta. Dyrekcja zakłopotana – ktoś nie wiadomo po

10 lipca tegoż roku.

Po lustrzanej tafli rzeki wesoło ścigając się suną katamaran i kajak. Słońce, przejrzysta woda, przyjemny chłodek...

Jak to wszystko jednak powiązać? Podejrzone typy przy księżycu, panika w „Dietskimi mirze” i szybki katamaran. Nie domyślacie się? Więc posłuchajcie.

x x x

Gorące lato w zakurzonej Moskwie. Szary asfalt oslepia oczy. Wydaje się, że niebo rozgniewało się na ludzi i nigdy więcej nie podaruje nawet kropli deszczu. Już kilka dni po sesji. W perspektywie całe lato. Jakby na złość milczy telefon. Żyje ktoś jeszcze w tej kamiennej pustyni? Ludzie, odezwcijcie się! Nagle... długi dzwonek telefonu przerywa drętą ciszę. Podnoszę słuchawkę, tak – to oni, moi przyjaciele z uczelni. Interesuje mnie tylko: dokąd i kiedy? Dwa magiczne pytania. Wyjaśnienie całej reszty – z kim, czym, jak – wszystko będzie później.

Czy już Drogi Czytelniku zrozumiałeś wszystko? Tak! Jedziemy na wakacje. Wybieramy się do Karelii – „krainy wiecznie modrych jezior i bystrych rzek” – popływać na kajakach. Wyjeżdżamy za tydzień. Łatwo jednak powiedzieć „jedziemy”, jeśli jest się instruktorem-zawodowcem, przewodnikiem lub ostatecznie członkiem któregoś z dzielnicowych klubów turystycznych. A co robić, jeśli jest się najzwyczajniejszym mieszkańcem miasta, którego nagle pociągnęło na łono natury i to jeszcze na

niedostępnych mokradłach). Ułożenie trasy to jeden z najprzyjemniejszych etapów przygotowań. Oto wreszcie wybrana rzeczka o cudacznej nazwie Onda. Mało znana, nie ma po niej opisywanych tras. Świetnie! Będziemy tam pierwsi! Jeszcze nie wiemy, że nie pływa się po niej, ponieważ ta sympatyczna rzeczka to jedna z głównych dróg spławiania drewna. O tym dowiemy się dopiero na miejscu.

Na razie mamy inny problem – sprzęt. Dawno już nie wyjeżdżaliśmy, zdążyliśmy więc już zapomnieć, co to znaczy. Tak więc pełni zapału sporządzamy listę, kto czym dysponuje. Już po kilku minutach okazuje się, że nie mamy:

1. namiotów,
2. kajaków,
3. sprzętu do gotowania,
4. całej reszty.

Cóż, trzeba będzie pochodzić po sklepach.

Informacja nr 1. Ze słownika S. I. Ożegowa: „Namiot – lekkie tymczasowe pomieszczenie z naciągniętej na szkielet tkaniny lub skóry”.

Namiot ze skóry – to dla nas coś absurdalnie nieznanego – zapewne z krainy czarodziejskich snów lub dziecięcych bajek. Z tkaniny – to już bardziej realne. „Tymczasowe pomieszczenie” – te namioty, które widzieliśmy w sklepie rzeczywiście są tymczasowe – to znaczy dzień albo dwa postoją. Ale nie dłużej! A nazwać te niekształtne grudy brezentu

„lekkimi” – to przez gardło nie przejdzie. Jedynie przeznaczenie, jakie znaleźliśmy dla tego namiotu (a ściślej jego masztów), to wykorzystanie do samoobrony. Są tak ciężkie, że w razie użycia to i lekarz nie nie pomoże. Tak więc pierwsza próba spełza na niczym.

Nie tracąc jeszcze wiary w zdolność ojczyściego przemysłu do sprawienia radości turystyce, idziemy szukać plecaków. Właściwie to w większości je mamy, ale jeden jest stary, drugi nie zmieści się do kajaka – potrzebne więc są nowe.

Informacja nr 2. „Plecak – zakładany na plecy worek na różne przedmioty”. To, co znajdujemy w sklepach, zgadza się z pierwszą częścią tej definicji. Pozwólcie jednak spytać, „na różne przedmioty” – to znaczy na wiele przedmiotów czy jeden jedyny? Z trudem wpechnęliśmy do środka śpiwór. Na tym jednak koniec. Więcej miejsca nie ma. Nie wejdziesz nawet szczoteczka do zębów. Zdecydowanie rezygnujemy z tego zielonego karzelka i idziemy dalej. Następny plecak jest już trochę większy, ale, z trudem włożywszy go na plecy, jeden z naszych kolegów nagle zaczął skrecać się, jakby wbito mu w ciało setki rozżarzonych prętów. W piątkę zdzieramy z niego plecak. Szelki! Ten, kto TO szyl, myślał chyba, że będzie to nosił pięć- a nie dziewiętnastolatek. A plecy u nich różnią się przecież nieco rozmiarami.

Zobaczywszy, że nie tu po nas, idziemy do ostatniego sklepu, marząc o jednym: może choć śpiwór nasz przemysł wyprodukuje. Ha, ha! Ten „śpiwór turystyczny” podnosiliśmy we dwójkę, bo w pojedynkę po prostu się nie dało! Nie wiem, czym był wypchany, ale zrozumieliśmy twardo: z takim śpiworem na plecach nie dojdziemy nawet do pierwszego postoju.

Następnego dnia znów zebraliśmy się w tym samym mieszkaniu. Te same twarze, tylko jakieś posmutniałe. Choć nie wszystkie, jedna z nich promienieje radością. To Sieriożka, który wpadł na pomysł, by kupić... kaski. Kaski? Po co, zapytacie. Nic lepiej nie ochroni głowy przy pokonywaniu wysokich progów niż hokejowy kask z dumnym napisem „Spartak”.

Tak więc – nie mamy niczego. Pozostaje odwieczne pytanie, co robić? I tu ośniewa nas zbawienna myśl. Mamy przecież przyjaciela w turystycznym klubie wodniaków! Zwołujemy do niego, na szczęście jest w domu. Nazwawszy nas kilka razy „czajnikami” (wyjaśnienie: czajniki to nie tylko naczynia kuchenne, to także nowicjusze, jakimi jesteśmy w turystyce wodnej) ze zrozumieniem odniósł się do naszych problemów.

Już po godzinie z Olgą i Glebem jadą na lotnisko. Pamiętacie początek? Wprawdzie starych spadochronów prawie wcale nie było, ale, uprosiwszy naczałstwo, nasi przyjaciele dostali wymarzony kwadrat jedwabiu. Zrozumieliście już wszystko? Lekki i mocny materiał – co może być lepszego na namiot i śpiwór? Olga podejmuje się odpruć linki i zająć się szyciem. Wykroje daje nam znajomy. Okazuje się, że w środowisku moskiewskich turystów to normalne. W końcu skąd przy pustych sklepach biorą się na złotych te jasne, kolorowe namioty? Lekkie, wygodne, ładne, dopiero co spadłe z nieba (dosłownie – jako spadochrony). Namiot

wyszedł nad podziw dobry, a ważył jedynie trzysta gramów – takie małe zawiniątko.

Na śpiwór potrzebny jeszcze puch – i oto rozwiązanie tajemniczych wyczynów na fermie. Igor i Gleb wrócili bardzo zadowoleni z workiem puchu. W tych śpiworach nie zmarzniesz i zimą!

Teraz plecaki. Będziemy mieli wygodne i ładne. Oczywiście, nie ze sklepu. Pamiętacie „Dietskij mir”? Mafia nie miała z tym nic wspólnego. Po prostu z trzech kompletów wychodzi jeden duży i porządny plecak. Skąd mamy zatrzaski i klamerki? Zapomnieliście o śmietniku! To niewyczerpane źródło życia nie tylko dla samochodów (opowiada się o tym, jak na wyspisku zbierano całe samochody), ale i dla turystów. Nie wiadomo czemu, przywożą tu prosto z zakładu kółka, haczyki – wszystko, co tak potrzebne.

Mała dygresja o przeszłości.

Gdy pytam rodziców, czy tak samo było dawniej, tata wyciąga z szafy dwa zadziwiająco porządne plecaki na stelażach. „Czyżby to cudo można było kupić w sklepie?” – pytam. Oczywiście, że nie. Przypatrzysz się żelaznej ramie stwierdzam, że niektóre jej części silnie przypominają składane łóżko. Okazuje się, że tato z mamą zmajstrowali plecaki dwadzieścia lat temu. Oprócz lekkości i wygody mają jeszcze jedną interesującą zaletę: gdy postawić je obok siebie, w jednym z nich można odchylić deseczkę i powstaje... stolik. Pomysłowe, nie? Przemysł jednak nigdy nie był w stanie czegoś takiego produkować.

Mamy już namiot, śpiwory, plecaki. Czego brakuje? No tak, najważniejszego – kajaków. Przykre to, bo w wypożyczalniach łódek „nie ma i nie będzie”, a na nasze nieśmiałe pytania „A gdzie są?”, rozwścieczony głos odpowiada coś w stylu: „Kręci się was takich turystów wielu”.

Z determinacją wydzwaniamy po znajomych. Cały dzień wisimy na telefonie, a odpowiedzi jednakowe: „Już oddaliśmy”, „Jutro odpływamy”. Niestety, późno się zreflektowaliśmy – w środku lata ani jeden kajak nie ostanie się w mieście. Znów ratuje nas przyjaciel. Daje nie tylko kajak, ale i katamaran – oczywiście wyprodukowane we własnym zakresie.

U turystów pojawiło się specjalne słowo „samszyt” (bukszpan) – zrobiony (uszty) samodzielnie. Samszyt przynosi zaszczyt jego autorowi. Jest jego dumą i przedmiotem ogólnego zachwyty. To świadectwo twojego rozumu i pomysłowości.

Zbieramy na ostatnią naradę. W ciągu tygodnia skompletowaliśmy wszystko. Mamy namiot i plecaki, śpiwory i materace... Prawda! Kilka kawałków fińskiej izolacji do budynków – grubej i ładnej (lekką różową) doskonale posłuży w charakterze materaców. Mamy też kociółki – wiadomo, nie ze sklepu. Tu mała rada: wygodnie i praktycznie wykorzystają prostokątne żelazne bańki po oliwie. Jeśli wyjąć denko i przymocować uchwyt z drutu, otrzymuje się wygodny kociółek, który świetnie mieści się w plecaku, a nie żal go, gdy się przepali, przebije czy zgubi. Kamizelki ratunkowe też są oczywiście z kategorii samszytu – zszy-

liśmy je ze spadochronu, a włożone do środka gumowe dziecięce zabawki cudownie utrzymują je na wodzie (szczególną popularnością cieszył się „żółw”, który nie wiadomo dlaczego był prawie kwadratowy). Sami skleiliśmy sztoramiaki i wiele innych rzeczy.

W końcu, 9 lipca przybyliśmy na Dworzec Leningradzki mając wszystko, co potrzebne. Przekonał się o słuszności powiedzenia: „Nigdy nie trać głowy i nie wpadaj w rozpacz, wszystko w twoich rękach”. Czekają nas błękitne jeziora, przepiękne wschody słońca, ogniska – wszystko to, czym obdarza wyprawa (nie mówiąc oczywiście o takich cudach, jak wykończające deszcze czy chmary komarów). Ale to wszystko potem.

Na razie popatrzcie na niego:

oto idzie

zaradny i sprytny niby lis,

uparty jak byk i śmiały jak lew.

Z niczego może zrobić wszystko!

Któż to taki?

To TURYSTA.

Natalia Pierowa

(tłum. J. P.)

W SZEROKI ŚWIAT

W najbliższym czasie Oficyna Wydawnicza „Sudety” Oddziału Wrocławskiego PTTK wyda drukiem książkę Marii Sawickiej pt. „ZAPACH MONSUNU”. Publikacja ta wypełni lukę w nie wychodzących już od kilku lat książkach podróżniczych, np. z serii „Naokoło Świata”.

W swej książce pani Maria prowadzi czytelnika przez liczne kraje Azji. Czytając ją będziemy zatem w Chinach, Wietnamie, Indiach, Indonezji, Afganistanie lub Tajlandii.

Książka jest rodzajem pamiętnika, w którym w sposób lekki i żartobliwy opisane są podróże o charakterze globroterskim, o posmaku romantycznej przygody. Pasja poznania, fantazja i humor, umiłowanie podróży, pokonywanie trudności i satysfakcja z osiągniętego celu – są dla autorki tym, co stanowi główną radość życia.

Czytelnik nie napotka w tej książce natrętnie lub encyklopedycznie podawanych wiadomości, ale uważnie śledząc wraz z autorką szlaki podróży – znajdzie w treści jakby mimochodem to, co dotyczy wiedzy o warunkach przyrodniczych i kulturowych poszczególnych obszarów. Książka zachęca do włączenia po świecie bez względu na wiek, zachęca ludzi starszych i młodzież, jest po prostu propozycją stylu życia. Wędrując wraz z autorką chłonimy świat wszystkimi zmysłami, a już sam tytuł książki informuje, że przewędrujemy od wybrzeży tropikalnych mórz aż po wysokie pasma Himalajów.

Każdy z nas może być jeszcze odkrywcą świata, w każdym razie dla siebie samego. Czyż nie warto spróbować?

Więc znajdziemy odpowiedź na to w proponowanej książce i odwróćmy jej pierwszą kartkę...

Teresa Klimowicz

M. SAWICKA „ZAPACH MONSUNU”.
Oficyna Wydawnicza „Sudety”, Wrocław, 1992
(w druku). 8 ark. wyd., fotografie.

POLSKIE ZMARTWIENIE NA ZAOLZIU

Na pierwszy rzut oka niegdyś polskojęzyczne Zaolzie (czechosłowacka część Śląska Cieszyńskiego) nie różni się dziś zbyt od innych rejonów Czeskiej Republiki. Widocznych śladów polskości jest coraz mniej. Stopniowo znikają polskojęzyczne napisy. Mimo pięknych politycznych deklaracji o sąsiedzkiej współpracy, kontakty między Polską a Czecho-Słowacją specjalnie się nie rozwijają. Młodzież częściowo asymiluje się. Starsi Polacy martwią się zatem o los własnego dziedzictwa kulturalnego na tej ziemi. Według najnowszych zeszłorocznych danych statystycznych żyje tu nieco ponad 60 000 Polaków.

Do zmartwionych należy Stanisław Gawlik z Jabłonkowa, lider polskiej części ruchu mniejszości narodowych w Czecho-Słowacji „Wspólnota”. Ostro krytykuje umowę polsko-czechosłowacką, którą podpisano w październiku ubiegłego roku. Zaraz po tym w grudniu pojechał do Warszawy, aby przekonać posłów i senatorów, że ta umowa nie służy interesom polskiej mniejszości. W Warszawie umowy prawie nikt nie znał. Pojechał drugi raz. Umowę, którą minister Skubiszewski uważa za najlepszą, jaką kiedykolwiek podpisano między tymi dwoma krajami, Gawlik określa jako „krzywdzącą wobec polskiej mniejszości i nonszalancko traktującą jej sprawy życiowe”.

– Dlaczego?

– Część poświęcona mniejszościom jest zbyt ogólna. Obniża rangę tych mniejszości stosując

termin etniczna zamiast, jak się używa w dokumentach KBWE, narodowa. Poza tym umowa uznaje traktat monachijski wraz ze wszystkimi swoimi konsekwencjami za nieważny.

– Dlaczego jest tak źle?

– Bo wystarczyłoby podkreślić unieważnienie traktatu monachijskiego, jak na przykład w czeskiej umowie z Niemcami. Obecny zwrot powoduje między innymi ogromne trudności w naszych roszczeniach o majątki, które należały do polskich organizacji już od XIX wieku i zostały skonfiskowane przez Niemców podczas drugiej wojny światowej, a potem w 1945 roku zostały przejęte przez rząd czechosłowacki.

Prywatyzacja na ogół przysparza dodatkowych trudności mniejszościom narodowym we wszystkich krajach postkomunistycznych. Są one zazwyczaj pomijane w procesach przekształceń własnościowych, ewentualnie zaś dotacje na ich cele kulturalne są niepewne. Zwykle cierpi na tym bardzo prasa mniejszościowa. Gazeta polska na Zaolziu „Głos Ludu” wychodzi w nakładzie ok. 10 000 egz. Żadna polska gazeta nie jest w stanie utrzymać się na rynku z takim nakładem.

Stanisław Gawlik twierdzi, że połowa Polaków w Czecho-Słowacji popiera ruch mniejszości narodowych „Wspólnota”. Jego przewodniczącym jest były więzień polityczny Węgier, Miklos Duray, a wiceprzewodniczącym właśnie Stanisław Gawlik, któ-

ry nota bene studia skończył we Wrocławiu. Druga połowa popierała dotychczas łagodniejsze w sprawach polsko-czeskich dawne Forum Obywatelskie, które utworzyło odrębną polską sekcję.

Forum jednak rozpadło się na różne partie polityczne.

Tegoroczne czerwcowe wybory parlamentarne pokażą, kto będzie reprezentował polską mniejszość w nowym parlamencie. Wybory te również pokażą, czy Czecho-Słowacja w ogóle zdoła będzie utrzymać jedność państwa. Zagrożają jej przede wszystkim dążenia separatystyczne istotnej części słowackiego społeczeństwa.

Większość Polaków mieszka w Czeskiej Republice. Tylko 3000 na Słowacji, a blisko 50 000 na Śląsku Cieszyńskim. Przewagę stanowią Polacy już tylko na wsi – w miastach dominuje naphyowa ludność czeska. Największe skupiska polskiej mniejszości – ponad 20 proc. są w Trzyńcu i Jabłonkowie. Czy zdołają zachować swoją polską tożsamość? Na razie panuje niepewność. Najaktywniejsi działacze kulturalni narzekają też na brak zainteresowania sprawami Zaolzia ze strony Warszawy.

Tam myślą tylko o Polakach na Litwie i na Ukrainie – skarżą się na Zaolziu.

Björn C. Funnemark
(„Stowo Polskie” 1992/23)

Miniony rok był dla turystyki z wielu względów przełomowy. Skończyły się wielkie dotacje i niezbyt czasami rozsądne gospodarowanie pieniędzmi. W momencie choćby kilkumilionowego już obecnie bezrobocia czy niedoinwestowania szpitali, turystyka górską oraz jej zagadnienia kultury nie mogą być oczywiście w centrum uwagi.

W naszym Towarzystwie oddziały padają, jak przysłowiowe muchy, zamierają struktury typu krajoznawczego, tracą rację bytu całe przedsiębiorstwa i to także, te przydatne celom statutowym. Nie brak i autentycznych tragedii, jak pożar schroniska PTTT na Przehybie 17 grudnia i, jak na razie, wymazanie Przehyby z sieci górskich

niez społeczność górską, a wraz z nią Podkomisja Kultury i Historii Turystyki Górskiej PTTK. Podczas gdy dla innych jednostek i agend PTTK kończą się właśnie rok był ostatnim w ich karierze, utworzony przez Podkomisję Gabinet prof. Kazimierza Sosnowskiego w Domu Turysty nie tylko się odrodził w swoich podstawach lokalowych i technicznych, ale merytorycznie znacznie rozwinął.

W maju przewodniczący Podkomisji Edward Moskala doprowadził przede wszystkim do generalnego urządzenia od nowa całej ekspozycji Gabinetu. Po przygotowaniu w gabinecie nowej wystawy, zostałem wyposażony w niezbędne wskazówki do merytorycznej pracy w nowej roli Ośrodka i jego formule biograficznej.

uczyć co do treści i koncepcji obecnych gazet – np. od swoich kolegów prasy codziennej i turystycznej lat międzywojennych.

W ekspozycji Gabinetu pojawiły się elementy nowe, jak nosiłki Profesora do znakowania szlaków górskich czy osobisty termos Kazimierza Sosnowskiego. Oprawione zostały dyplomy uhonorowania Sosnowskiego Krzyżem Kawalerskim oraz dowodami uznania od Oddziału Krakowskiego PTTK z końca lat czterdziestych. Dzięki uprzejmości Wydawnictwa PTTK „Kraj” udało się pozyskać dużą ilość oryginalnego ekslibrisu Gabinetu. Każdy odwiedzający może teraz otrzymać tenże ekslibris, folder oraz okolicznościową kartę pocztową.

Wokół Gabinetu K. Sosnowskiego

schronisk na Sądęczynie. Stale maleje liczba członków PTTK, a planowana zwyczajnie składki przy równoczesnej niższej ulg, nie wróży na najbliższą przyszłość niczego dobrego.

Kiedy chodzę dziś po Domu Turysty PTTK w Krakowie, dają się przede wszystkim zauważyć ogromne zmiany. Cena, jaką zapłacono za to, aby obiekt ten dalej mógł być dla turysty autentycznym domem, jest znaczna. Dla utrzymania merytorycznych podstaw siedziby obiektu przy ul. Westerplatte 15/16 część hotelową prowadzi Biuro Handlowe „Jan-Pol”, a gastronomię – Przedsiębiorstwo Usługowe „Wamex”. Oprócz funkcjonujących dotąd Biura Turystyki Zagranicznej PTTK i Wydawnictwa PTTK „Kraj”, w dawnej sali konferencyjnej Domu Turysty swój sklep prowadzi Centrum Sportu „Max”, a ponadto mają tu swoje siedziby: Towarzystwo Ubezpieczeń Turystycznych „Atut”, Biuro Podróży „Radtur”, Spółka Usługowo-Handlowa „Kedar” i Auto Centrum Skody Favorit. W dolnej części hallu wabi klientów wspaniała ekspozycja kwiatów wraz z ich zorganizowaną sprzedażą w Salonie Kwiatów „Flower Boom”. Na parterze, do lokalu po zlikwidowanej Rewizji Gospodarczej ZG PTTK, wprowadza się Przedsiębiorstwo Zagraniczne „Warimex”. Łącznie dziesięć różnych instytucji mieści Dom Turysty pod swoim dachem. Taki to znak czasu i gospodarczych przemian.

W całkiem nowej i obiektywnie coraz trudniejszej sytuacji funkcjonuje w Krakowie rów-

Muzealna sala Gabinetu stała się żywą pracownią krajoznawczo-górską. Miesiące letnie wykorzystałem na szeregową inwentaryzację zbiorów, które zgromadzone zostały aż w 62 działach. Wykonana przy tym praca w porównaniu np. do zebranych w roku ubiegłym pocztówek w dwóch albumach po profesorze czy małego folderu o pocztówkach pienińskich, była niepomniernie większa. Najistotniejsze zaś jest to, że dokonana inwentaryzacja zbiorów dobitnie przekonuje o nieprzemijającym dziele Profesora, zwłaszcza w obecnych ekstremalnie dla turystyki trudnych czasach. Zbiory K. Sosnowskiego stale nabierają aktualności i świeżości.

Gabinet odwiedziło może mniej wycieczek, za to w minionym roku więcej autentycznie zainteresowanych krajoznawstwem i takich osób, których pasje realizowane wśród eksponatów muzeum są najlepszym potwierdzeniem zasadności funkcjonowania. Były też i persony wśród gości wybitne, jak Przewodniczący Europejskiej Federacji Szlaków Pieszych, dr Robert Wurst, znany mi dobrze z wieloletnich kontaktów na forum KTG ZG PTTK, kierownik Centralnej Biblioteki PTTK – Wanda Skowron, liczni krakowscy dziennikarze czy katowicka Telewizja, programowo już niejako interesująca się Gabinetem.

W końcu listopada trwała wystawa starych gazet i czasopism z lat 1901-1953, do których albo Kazimierz Sosnowski pisywał, albo takich, które z uwagi na merytoryczne wartości kolekcjonował. Sądzę, że dzisiejsi dziennikarze w naszych komputerowych czasach mogliby wiele się na-

Merytoryczne wartości Gabinetu reprezentuje małonakładowe wydawnictwo, kolejny numer „Not biograficznych ludzi gór”, który ukazał się w połowie 1991 r.

Oddać należy wysokie uznanie Renacie Olenderek, poprzedniemu tutaj kustoszowi, za stworzenie dobrych podstaw w latach ubiegłych, które przyczyniły się teraz do rzetelnego sporządzenia drobiazgowej inwentaryzacji. Dziesięć stan tych materiałów pozwala już na prowadzenie rozmaitych prac źródłowych, sięgnięcie w każdej chwili po dowolny temat z przebiegłej kariery i prac Sosnowskiego, a nawet próbę przygotowania o Profesorze monografii książkowej.

Praca Gabinetu Sosnowskiego w minionym roku jest jednym z elementów ogromnej maszyny, której na imię KULTURA TURYSTYKI GÓRSKIEJ, a która w rok 1992 wkroczyła na przekór wszystkiemu w całkiem dobrej kondycji.

Ośrodek biograficzny KTG w Domu Turysty zamierza wydać nigdy nie publikowaną pracę Kazimierza Sosnowskiego „Wytworzone formy towarzyskie”. Pragniemy dać tym świadectwo o wszechstronności patrona Gabinetu, którego wszyscy turyści górscy i krajoznawcy identyfikują przeważnie z pierwszymi przewodnikami po Beskidach, znakowaniem szlaków i karpackimi schroniskami, a co, jak dowiedzie ta pozycja, nie jest prawdą.

Andrzej Matuszczyk
Kustosz Ośrodka

Pozycja zachodów słońca widziana z miasta Żywiec

Położenie miasta Żywiec pozwala na ciekawe spostrzeżenia dotyczące zachodów słońca nad odpowiednimi górami przez cały rok.

Dnia 21 grudnia, gdy słońce wstępuje w znak Koziorożca, w którym początek zimy się zaczyna i najkrótszy dzień, a noc najdłuższa jest i słońce w górę zaczyna się wznosić i dnia przybywać, to słońce zachodzi nad górą Żarek (667 m npm), koło Węgierskiej Górki.

Wstępując w znak Wodnika – 20 stycznia – słońce zachodzi za górę Wieśnik nad Radzichowami.

Co wójt Komoniecki zapisał...

Dnia 20 lutego, gdy słońce wstępuje w znak Ryb, zachodzi ono za górę Ostre nad wsią Ostre.

W zrównaniu dnia z nocą, gdy zaczyna się wiosna, a słońce 20 marca wstępuje w znak Barana, zachodzi ono nad górą Skrzyczne.

Dnia 20 kwietnia, gdy słońce wstępuje w znak Byka, to zachodzi ono za górę Skalite.

Słońce wstępując w znak Bliźniąt – 21 maja – zachodzi za górę Magura (1095 m npm).

Dnia 21 czerwca, gdy słońce wchodzi w znak Raka, nastaje najdłuższy dzień, a najkrótsza noc i lato się zaczyna – słońce zachodzi za górę Szynkielnia.

Teraz słońce się cofa i zachody słońca następują:

– 22 lipca w znaku Lwa zachodzi za Magurę,

– 22 sierpnia w znaku Panny zachodzi za Skalite,

– 22 września w znaku Wagi i zrównaniu dnia z nocą słońce zachodzi za Skrzyczne,

– 23 października, wchodząc w znak Skorpiona, słońce zachodzi za Ostre,

– 22 listopada słońce w znaku Strzelca zachodzi za górę Wieśnik,

– 21 grudnia słońce ponownie zachodzi za górę Żarek.

Ciekawa sytuacja dotyczy też góry Skrzyczne. Stojąc na górze Skrzyczne widzimy, że na wiosnę słońce zachodzi za górą Skalite, a jesienią zachodzi z drugiej strony – nad górą Ostre. Z jednej strony góry Skrzyczne jest położone słońce w lato, a z drugiej strony – w zimę.

Nazwiska gór, rzek i wsi żywieckich, skąd poszły od przodków

Naprzód góra Pilsko, która najwyższa jest wierzchem swoim nad inne i stąd ma

swoje nazwisko, iż tam dawnych czasów Orawcy zbójcy mieli na tej górze swoje zebrania i uciechy sobie czynili, kazawszy sobie wina, piwa i gorzałki za swoje pieniądze przywozić, gdzie pijatyki z owczarzami i dziewczkami miewali i często tam się opijali. Skąd tę górę od tych pijatyk Pilsko nazwano i dotychczas nazywa się.

Niedaleko od tej góry jest też góra nie mniejsza w Państwie Żywieckim, w kluczu Jeleśniańskim stojąca, nazywana Syfron albo Taniecznik. Na tej górze jest piękna polanka, na której z dawna także zbójcy żywieccy, przeciwiając się orawskim, że na górze Pilsko pijatyki odprawiali, oni też na tej górze i polanie, przysposobiwszy sobie trunków, muzykę sporządzili i pijąc,

tańce z dziewczkami od bydła, które po polanach pasaly, czynili. I tak po kielakroć ciesząc się, hajdukując albo tańcząc, do tego przyszło, że tę górę i polanę Taniecznik nazwali, i dotąd się zowie.

Trzecia zaś góra Skrzecznia albo Skrzeczno, która wierzchem rozgranicza Państwo Łodygowskie od Żywieckiego. Na której górze jest jezioro jedno na kształt stawu sitowiną zarosłe, gdzie czarna woda zawsze stoi i stąd nazwana jest ta góra Skrzecznią albo Skrzeczno, że w tym jeziorze żaby często skrzeczają, że ich daleko pod wieczór słychać. Powiadają niektórzy, że tam diabeł miał młyn stawiać i przekopa z góry, jak z kamienia wykuta, do łodygowskiego potoku ma tam być.

Rzeka Ślanica, nazwana od słonych miejsc, która bieży przez wieś Sól.

Rzeka Koszarawa, stąd nazwana, iż ona swój początek bierze i źródłem wypada skosem od Orawy jakoby z kosza orawskiego i płynie przez wieś nazwaną Koszarawy, obsadziwszy naonczas tę wieś na koszarach bydłych albo owczych.

Rzeka Sopotnia Wielka zowie się Głębokiem, iż wypada z między Hał Głębokich, a płynie przez miejsce nazwane Sopot, gdzie woda tej rzeki ze skały jakby z dachu wysokiego z szumem wielkim w pleso głębokie wpada, że żerdź długa sterceć nie może.

Rzeka Streszawa albo Stryszawa, od stryszów (zatorów lodowych) podczas zimy często tam będących i na brzegi lodów wypierających jest nazwana. To miejsce, na którym miasto Żywiec z gruntami zasiadło, naonczas lasem bukowym było, na którym obficie bukwie rodziły, gdzie okoliczni mieszkańcy stada świni swoich pasali. Co rok stada wielkie zganiałi i paśli, i stąd ulubiwszy sobie miejsce, w mieszkaniu się ludzi to miejsce obróciło i od obfitości żywienia świni i rozlicznych w tych górach rzeczy i pożywienia, zasiadłszy, kielka chałup Żywcem nazwano.

Sporysz, wieś nazwana jest, iż na tym miejscu, gdzie wieś zasadzona jest, ziele sporysz przedtym rodziło się, przy tym, że sporo przodkowie tameczni siewali. A nadto, że ta wieś niegdy do miasta Żywca ku szpitalu należała, i gdy burmistrz do tej wsi posyłał po jaką należność do miasta zawsze sporni byli, skąd ich w mieście nazwano: sporni wsianie, co się potem przemieniło jako Sporyszanie.

Jeleśnia nazwana jest od jeleni lśniących, które tam na pasze schadzały się i często ich tam łowiono, gdy przedtym lasy były.

Koszarowy, iż ta wieś od Orawy skosem ciągnie się i na owczych koszarach obsadzona jest.

Krzyżowa, że w tej wsi na krzyż drogi są i woda na krzyż płynie swemi potokami z pobliskich gór. A nadto, iż tam najpierw niż ta wieś osadzona była, w lesie krzyż wystawiony był i stąd Krzyżową nazwano.

Korbielów, iż tam jest góra jakoby korba przegięta. Przytym, że tam niegdy był las, gdzie pan jakiś, Korbiel nazwany, jadąc umarł i tam pogrzebiony.

Brzuśnik albo Brzuśne, iż tam ta wieś jakoby na brzuscu albo brzuchu góry leży.

Żabnica, że tam żab zielonych nie było i teraz ich nie masz, tylko same chropowate, gdyż tam rzeka kamienista jest i woda w całym Państwie najlepsza i najłekniejsza.

Cisiec nazwany od lasku cisowego, który tam przedtym na tym miejscu był.

Milówka, od miłego łowu, od którego miejsca w lasy mila łowiu było, gdy panowie przedtym będący na łowie tam jeźdzali.

Sól, wieś przewzana od słonych wód albo soli tam będącej, którą niegdyś tam warzono.

Zarzecze stąd nazwane, iż za rzekami Sołą i Zylcą osadzona jest.

Międybrodzie, iż między tę wieś wiele razy przez Sołę brodzić trzeba.

Lipowa wieś nazwana, iż tam w tym miejscu najpierwszy tameczny poddany chałupę sobie z drzewa samego lipowego zbudował i tę chałupę jego lipową nazwano, a potem od tej chałupy wieś Lipowa.

Na podstawie *Chronografia albo Dziejopis Żywiecki, Andrzeja Komonieckiego, wójta na ten czas żywieckiego* spisał gregorian, a miłośnik Ziemi Żywieckiej

Robert Żabówka jr

Powstanie 29.04.1906 r. we Lwowie drugiej – po Towarzystwie Tatrzańskim – polskiej organizacji turystycznej i krajoznawczej, było wydarzeniem ważnym najpierw tylko dla jej uczestników. Jej inicjator – Mieczysław Orłowicz, sam początkowo nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmieni się jego życie. Nie wiedział, że dzięki przewodniczeniu Akademickiemu Klubowi Turystycznemu będzie pierwszym zawodowym turystą w Polsce.

AKT”, są ozdobą wielu przewodników opracowywanych przez Orłowicza, poczynając od „Przewodnika po zdrojowiskach i miejscowościach klimatycznych Galicji” z 1912 r. Znalazło się w nim 117 fotografii ofiarowanych honorowo przez autorów dla poparcia wydawnictwa.

Dzieje wielu ludzi i organizacji obfitują w niezwykle wydarzenia, które po latach pokrywa mgła niepamięci. Okazuje się jednak, że równie często przypadek pozwala trafić na

wydawców. To właśnie on odpowiedział mi na pytanie długo pozostające bez odpowiedzi, które brzmiało: Czy masz w swoich zbiorach widokówkę wydaną przez lwowski AKT, zwaną „kartką Bachledy”? Co o niej wiadomo, jaki miała temat fotografii?

Po kilku tygodniach okazało się, że Adam Czarnowski może wszystko w dziedzinie widokówek. Miał w swoich zbiorach to, czego poszukiwałem: zachowaną w znakomitym sta-

NIEZWYKŁA HISTORIA JEDNEJ WIDOKÓWKI

Liczni członkowie AKT znaleźli się potem wśród pionierów zorganizowanej turystyki karpackiej i tatrzańskiej, letniej i zimowej, narciarstwa i taternictwa, a także fotografii turystycznej i krajoznawczej. Lwowski klub „trafił w czas” wielkiego rozwoju amatorskiej fotografii, a jego założyciel – choć sam nigdy nie miał aparatu fotograficznego i nie naświetlał klisz, położył wielkie zasługi dla rozwoju polskiej fotografii krajoznawczej i turystycznej. Warto wspomnieć choćby pierwszą znaczącą w dziejach AKT wycieczkę górską w czerwcu 1907 r., podczas której Orłowicz lansował hasło – nota bene takie samo hasło wcielał w życie w czasie wycieczek jako fotograf-amator, pionier i protoplasta Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego Aleksander Janowski – które przez lata brzmiało tak samo: „żadna wycieczka nie może się obyć bez fotografa”. Brali w niej udział m.in. znany potem krajoznawca i organizator kół młodzieżowych PTK Leopold Węgrzynowicz oraz entuzjaści turystyki karpackiej, potem znani fotografowie – Czesław Łączkowski i Daniel Połątkiewicz.

Lwowski klub akademicki nie tylko lansował hasła. Styl uprawianej pod jego znakiem turystyki górskiej odznaczał się wielkim kultem fotografowania. Entuzjaści tej sztuki użytkowej stworzyli w jego strukturze osobną sekcję – Oddział Fotografów, który powstał 12.11.1906 r., działającą obok takich oddziałów, jak Atletyczno-Zapaśniczy, Szermierczy, Szachistów, Tenisowców, Kolarzy, Kółka Dramatycznego. Fotografom przewodniczył najpierw Eugeniusz Meller, a potem Zygmunt Klemensiewicz, który przyczynił się do rozwoju turystyki narciarskiej. Był współzałożycielem w lutym 1907 r. we Lwowie znanego szeroko przez kolejne trzydzieści lat Karpackiego Towarzystwa Narciarzy. Zasłużył się dla fotografii turystycznej, dokumentując turystykę zimową.

Zachęty do fotografowania podczas każdej wycieczki stały się zaczątkiem bardzo bogatych zbiorów AKT, zaś publiczną popularyzację zapoczątkował ich przegląd podczas urządzonej w czerwcu 1907 r. pierwszej akademickiej wystawy fotografii turystycznej. Zbiory fotografii AKT, podpisywane „Ze zbiorów

trop niezwykłych historii, które mają korzenie głęboko osadzone w zgoła niespodziewanych miejscach. Tak było w przypadku widokówki fotograficznej, jedynej wydanej w dziejach lwowskiego AKT i to w okolicznościach zahażających o biografie najwybitniejszych postaci polskiej turystyki górskiej.

Po raz pierwszy informacje na ten temat przedstawiłem w zarysie w mojej publikacji na łamach „Gościńca” w listopadzie 1987 r.

Poszukiwanie śladów zacząłem od jakiejś wzmianki, której nie potrafię po kilkunastu latach umiejscowić. Być może, a nie mam tego źródła pod ręką, znajduje się ona w którymś ze sprawozdań rocznych AKT, ale nie mamy pewności. Idąc tym tropem nie sposób pominąć badań, jakie prowadzi, oraz wiedzy, jaką zebrał znany krajoznawca i fotograf Adam Czarnowski. To on obficie i pilnie dokumentuje od lat dzieje „pocztowych kart ozdobnych” i „widoków”, wydawanych seriami przez towarzystwa turystyczne i krajoznawcze oraz innych

nie widokówkę fotograficzną, użytą jako kartka pocztowa. Zachował się na niej fragment stempla-datownika pocztowego ze Lwowa, ktoś wcześniej oderwał znaczek. Treść, przytoczę ją potem, była czytelna i stanowi ważny przyczynek do historii lwowskiego klubu turystycznego.

Z dziejów AKT wiadomo, że podobnie jak inne towarzystwa turystyczne i krajoznawcze (choć i widokówki PTK i TT można było kupić już wówczas bez trudności) jego zarząd od kilku lat miał zamiar wydania widokówek fotograficznych dla podreperowania finansów klubowych. Posiadając w swoich szeregach wielu coraz bardziej znanych fotografików, jak np. Adam Wisłocki, Czesław Łączkowski, Daniel Połątkiewicz, Jan Jaroszyński, Zygmunt Klemensiewicz i wielu innych, zamiar ten – zdawało się – łatwo da się urzeczywistnić. Niestety, przez lata zamiar pozostał zamiarem.

Trudność polegała przede wszystkim na tym, że przed wydaniem widokówek trzeba było zainwestować pewną ilość gotówki, na tamte czasy zapewne dość znacznej. Toteż nic dziwnego, że wydanie widokówki odkładano, wykorzystując, jak wspominałem, darowane fotografie do ilustrowania np. wydawnictwa przewodnikowego, „robiącego markę” klubowi, lub gromadzone w archiwum klubowym, używano ich do odczytów i pokazów poświęconych popularyzacji fotografii i wycieczek. Urządzali takie odczyty m.in. Zygmunt Klemensiewicz, Roman Kordys, Maksymilian Dudryk i inni.

Jak dowodzi Adam Czarnowski w „Wierchach” („Dawne pocztówki tatrzańskie”, t. 52 z 1983 r., wydany w 1986 r.), pocztówkę tatrzańską już w 1907 r. pierwsze wydało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, a Towarzystwo Tatrzańskie dopiero w 1909 r. Lwowski AKT nie chciał być gorszy i nie w tym dziwnego. Od początku znaczną część swej aktywności przejawiał w Tatrach, gdzie trzeba było być konkurencyjnym w staraniu o zwolenników. Nadto trzeba było utrzymać wakacyjne schronisko w Zakopanem przy Krupówkach, urządzać wycieczki, wzbogacać zbiory map i książek w klubowej bibliotece, wydawać drukiem sprawozdania roczne itp. Z pocztówek mógł być dochód...



Zamiar wydania widokówki dojrzał do realizacji w okolicznościach dramatycznych. Z lektur takich typowo górskich książek, jak „Tragedie tatrzańskie” Wawrzyńca Żuławskiego, „Wołanie w górach” Michała Jagielly czy „Ludzie spod niebieskiego znaku” Konstantego Steckiego wiemy, że jedna w największych tragedii w Tatrach zdarzyła się 5.08.1910 r. Na północnej ścianie Małego Jaworowego Szczytu wspinali się lwowscy taternicy, członkowie AKT – Stanisław Szulakiewicz i Jan Jerzyna. Gdy pierwszy z nich odpadł od ściany, jego partner także wypadł ze stanowiska asekuracyjnego, lecz jako mniej poszkodowany sprowadził pomoc z Zakopanego.

Wyprawą TOPR kierował sławny Mariusz Zaruski, a w jej składzie był i rychło na pomoc ruszył Szulakiewiczowy sławny Klimek Bachleda. W niezwykle trudnych warunkach ratownik uległ wypadkowi, porwała go kamienna lawina i zginął. Stał się symbolem poświęcenia dla ratowania życia w górach, przeszedł do legendy i historii polskiej turystyki górskiej.

Po tej wstrząsającej tragedii właśnie lwowski AKT chciał uczcić pamięć uwielbianego przez wszystkich Klimka. Klub na mocy specjalnej uchwały postanowił: zaciągnąć dług, pożyczając pieniądze od Towarzystwa Tatrzańskiego, podnieść składki członkowskie i... wydać widokówkę pamiątkową, aby zebrać fundusz na ufundowanie tablicy pamiątkowej ku czci Klimka Bachledy i wmurowanie jej w ścianę Małego Jaworowego Szczytu.

Tablicę zamówiono u znanego zakopiańskiego rzeźbiarza, pisarza, nauczyciela Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem – Wojciecha Brzezi. Rozmaite trudności sprawiły, że umieszczono ją na miejscu przeznaczenia dopiero latem 1912 r. Z czasem, gdy w 1936 r. usuwano tego rodzaju pamiątki z Tatr, przeniesiono ją na Cmentarz Symboliczny Ofiar Gór nad Popradzkim Stawem w Tatrach Stowackich. Tak, tam właśnie możemy ją oglądać, choć niewielu kojarzy jej powstanie w związku ze wspomnianą tatrzańską tragedią.

Dlaczego wspominam przy tej okazji o tablicy poświęconej pamięci Klimka Bachledy? Otóż jej wizerunek znajduje się na wydanej przez AKT widokówce, która jest fotomontażem wizerunku fotograficznego Jaworowych Szczytów i tablicy u ich podnóża. Na fotografii Jaworowych zaznaczono dwoma krzyżykami miejsca tragedii: białym – tam, gdzie zginął Klimek Bachleda, i czarnym – miejsce śmierci Stanisława Szulakiewicza. U dołu podpis: „Pamiątkowa tablica Klimka Bachledy na tle Małego Jaworowego”.

Na drugiej stronie widokówki znajdujemy wielce interesującą korespondencję i nadruki. Tam, gdzie zwykle jest objaśnienie pierwszej strony widokówki, czytamy: „Dochód ze sprzedaży kartek w całości przeznaczony jest na pokrycie kosztów fundacji tablicy umieszczonej w Jaworowej Dolinie” oraz, że jest to „Tablica dłuta W.(ojciecha) Brzezi. Odlana w bronzie przez Fr.(anciszka) Kopaczyńskiego w Krakowie”, a pocztówka wydana została „Nakładem Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie z zastrzeżeniem prawa reprodukcji”. W ramce litery „CZAS” mówią zapewne, że widokówkę wydrukowano w drukarni znanego krakowskiego wydawnictwa. Nieznany jest nakład tej widokówki.

Czytelne pismo układa się w krótki list z 22.04.1912 r. pisany we Lwowie od świeżo wybranego na funkcję sekretarza AKT – Stanisława Szafnickiego, do jego przyjaciela, członka klubu, aptekarza w Warszawie – Zygmunta Lambrechta. Adres: Plac Grzybowski 10 – apteka. Budynek istnieje w nieco zmienionym kształcie do dziś. (Ciekawostka: datownik ze Lwowa wskazuje odprawę pocztową z 24 kwietnia, datownik poczty w Warszawie 12 kwietnia. Różnica wynika ze stosowania innych kalendarzy w zaborze austriackim i rosyjskim.). Oto pełna treść korespondencji: „Kochany Zygmuncie! Nareszcie mamy te kartki Bachledy. Tablica kosztowała nas bardzo dużo, mamy więc włożyć trochę pieniędzy na pokrycie kosztów fundacji tablicy i umieszczenia jej w Jaworowej Dolinie. Kartki są bardzo powetowane. Możesz je sprzedać w Warszawie, to mi bardzo pomoże. Wiesz, było wiele zgromadzeń Klubu, wybraliśmy mnie na sekretarza. Proszę Ci roznieść moje powitanie za rok obiegły. Odpisz tylko i o ile możesz postaraj się jak najlepiej. Tablica dłuta W. Brzezi. Odlana w bronzie przez Fr. Kopaczyńskiego. W tej sprawie proszę Ci dać w wiadomościach 10. W dniu 22.04.1912 r. Szafnicki”

takim razie, ile Ci przysłać. Wczoraj było Walne Zgromadzenie Klubu, wybrali mnie na sekretarza. Przesyłam Ci również sprawozdanie za rok obiegły. Odpisz tylko i o ile możesz postaraj się jak najlepiej, w tej branży masz stosunki... Możemy wreszcie Ci dać w komis. Ściskam Cię Staszek. Lwów d. 22. W 15 No 'Nowości Ilustr' jestem na 13 stronie”.

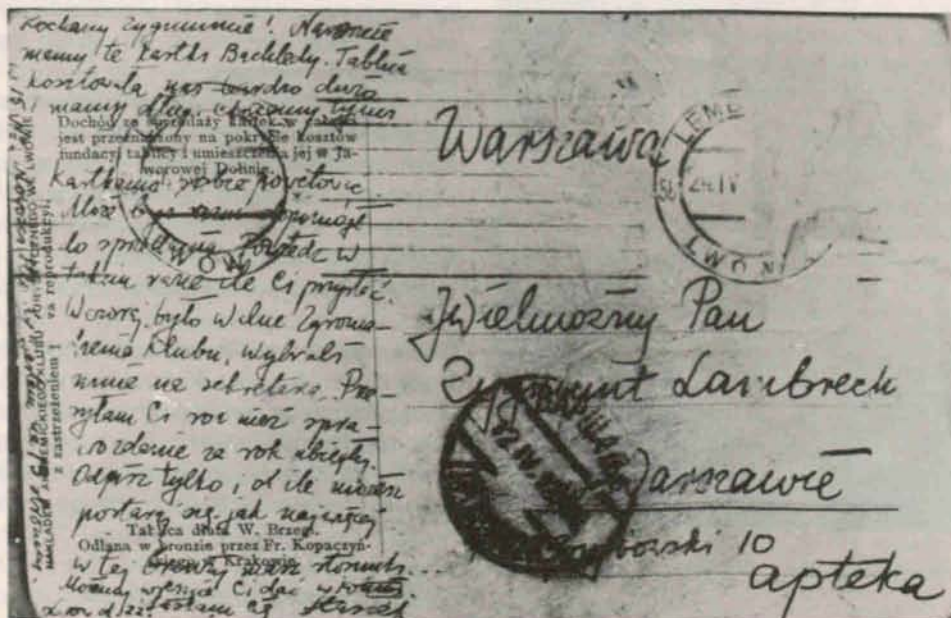
Nie wiemy, ile takich pocztowych kart i do kogo wysłali członkowie lwowskiego klubu czy też nowo wybrani członkowie jego zarządu w 1912 r. Nie wiemy także, czy dany pożądanym skutek, tj. czy sprzedaż kartek zapewniła zwrot kosztów ich wykonania oraz zaciągniętego w TT długu na poczet wykonania tablicy pamiątkowej. Wspomniana uchwała AKT przewidywała – w przypadku niewypłacalności dłużnika, przekazanie majątku na rzecz wierzyciela. Epizod ten jest znamienny także i z tego powodu, że wiele mówi o rzeczywistej trudnej sytuacji finansowej lwowskiego klubu. Wiadomo, że zaprzestał on działalności zapewne m.in. z powodu trudności finansowych we wrześniu 1922 r., a więc w dziesięć lat po ufundowaniu tablicy, po wielkich trudnościach wojennych lat 1914–1918 oraz lat 1918–1920, które szczególnie burzliwe były w Karpatach, a także we Lwowie.

Wypada podkreślić, że wydanie widokówki przez lwowski AKT jest bodaj jedyną próbą ratowania finansów klubu i osiągnięcia celu propagandowego równocześnie z uczczeniem pamięci tak wybitnego człowieka, jakim był Klimek Bachleda – przewodnik, ratownik, narciarz, skromny zakopiański góral wciągnięty do turystyki, której w końcu poświęcił życie.

Widokówka, nazwana przez Szafnickiego „kartką Bachledy”, jest epizodem w dziejach lwowskiego klubu turystycznego, epizodem w gąszczu wydarzeń związanych z działaniem klubu i turystyką tatrzańską, którą bardzo aktywnie popularyzował. Widokówka pozostała zarazem dowodem swoistej spójności działania na rzecz gór i pamięci o ich bohaterach. Jest także dowodem i dokumentem stylu epoki i obyczajów panujących wśród turystów tamtych lat. Szczególne znaczenie ma dla dziejów fotografii, także tatrzańskiej, lansowanej m.in. w wielu poczynaniach lwowskiego klubu na terenie Tatr i Zakopanego. Pomimo że nieznany jest autor wizerunku Jaworowego Szczytu z tej widokówki, wiadomo, iż członkowie AKT współpracowali z Wydawnictwem „Książnica Atlas” we Lwowie i zasilali je fotografiami z gór, tak dla potrzeb wydawnictw książkowych, jak i edycji widokówek.

A więc widokówka, przedstawiona tu jako jedyna wydana przez lwowski AKT w 1912 r., była odosobnioną inicjatywą, która doszła do skutku w niezwykle i dramatycznych okolicznościach. Epizod jest na tyle niezwykły i ciekawy, że warto go przypomnieć dokładnie w osiemdziesiąt lat po fakcie.

Tomasz Kowalik



GORY i ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

HIMALAJE * ALPY * TATRY * SKAŁY

25 maja o godzinie 16.00 agencja Reutera, powołując się na komunikat Ministerstwa Turystyki Nepalu, podała, że światowej sławy himalaistka Wanda Rutkiewicz **zginęła** dwa tygodnie wcześniej podczas atakowania szczytu Kangchenjunga (8586 m) w Nepalu. Kierownik wyprawy, Meksykanin Carlos Carsolio, który zdobył szczyt 12 maja, poinformował, że po raz ostatni rozmawiał z Wandą Rutkiewicz tego samego dnia przez radiotelefon, i że zamierzała ona zaatakować wierzchołek nazajutrz. Od tamtej pory nie było już więcej wiadomości o losie polskiej alpinistki. Polskie Radio w pr. III podało tę wiadomość już o 17.00, podobnie jak warszawskie radio „Zet”.

Takie informacje są najgorsze z możliwych. Nie mówią wprost tego, co wszyscy przeczuwają i co – logicznie rzecz biorąc – jest wiadome od pierwszej chwili

li. Przy tym wszystkim jednak pozostawiają cię nadziei, że to nieprawda, że może jednak się uda i wszystko szczęśliwie znajdzie swój finał. Tym większe są później rozczarowania.

W 99 takich wypadkach na 100, szczęśliwego zakończenia nie ma. Dowo-

telnik tak naprawdę nigdy tego nie zrozumie. W tej strefie, zwanej często „strefą śmierci wysokościowej”, niedostatek tlenu umożliwia egzystencję trwającą nie dłużej niż kilkadziesiąt... godzin!

A przecież niebezpieczeństw i zagrożeń jest więcej. Załamanie pogody

WANDA RUTKIEWICZ

dzi tego niezbitcie historia alpinizmu, to samo mówi wieloletnie górskie doświadczenie.

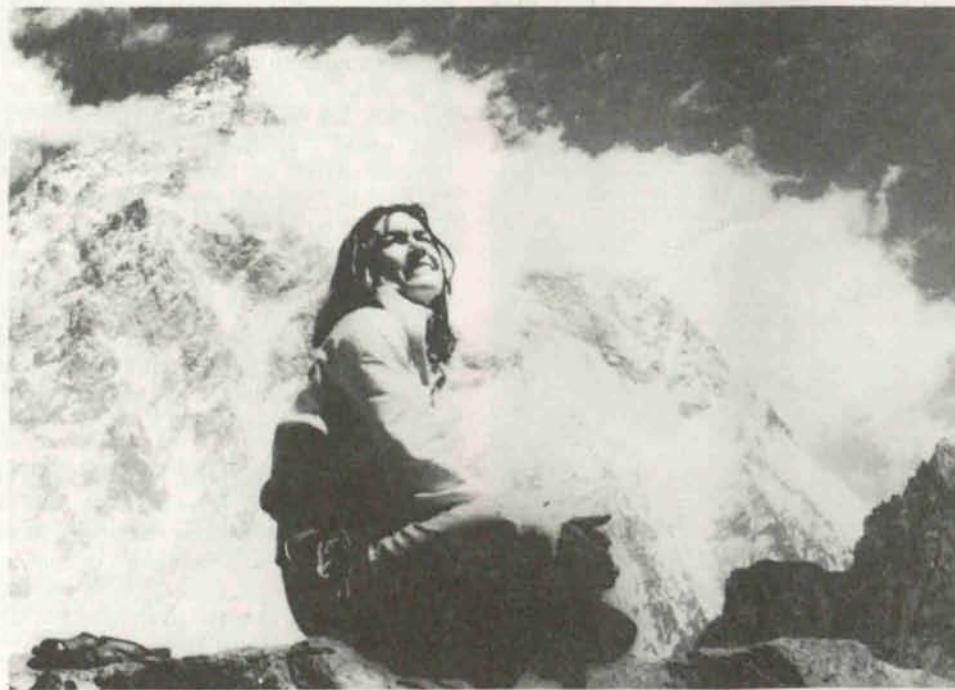
Jakże chcielibyśmy się mylić.

Dwa tygodnie w Himalajach, na wysokościach znacznie przekraczających 8000 metrów, to wieczność. Zwykły śmier-

często po prostu odcina odwrót. Ogromne pragnienie zdobycia szczytu prowadzi czasem poza granicę możliwości szczęśliwego powrotu do bazy. Ewentualność skorzystania z innej drogi zejścia ze szczytu, z uwagi na trudności i skomplikowanie terenu oraz ogrom tych gór, jest realna tylko rzadko. Akcja ratunkowa praktycznie nie wchodzi w grę. Helikoptery nie latają tak wysoko.

Dziś już, niestety, z całą pewnością możemy stwierdzić, że Wanda **zginęła** w Himalajach. W kierunku szczytu poszła z namiocikiem, ale bez śpiwora, paliwa i żywności. Następnego dnia załamała się pogoda. A wszystko to działo się na wysokości 8300 m n.p.m!

Carsolio czekał na nią 2 dni w obozie położonym na poziomie 7900 m. Arek Gąsienica-Józkowy (partner Wandy na tej wyprawie) znajdował się wówczas w obozie III. Nic więcej nie można było uczynić. Carlos jest jednym z najlepszych alpinistów świata. Ma na koncie kilka wejść na ośmiotysięczniki, m.in. na Everest. Wiele wspinał się z Polakami. Jest twardy, silny i doświadczony. Fakt, że po wejściu na szczyt czekał na Wandę jeszcze 2 dni (na wysokości bliskiej 8 tysiącom metrów), świadczy o jego poczuciu solidarności alpinistycznej i odpowiedzialności. On również ryzykował bardzo wiele, wyczerpany długotrwałym wysiłkiem i przebywaniem na dużej wysokości.



Wanda Rutkiewicz na tle ściany K2 w Karakorum. Foto: Archiwum A. Lwowa

Piszę o tym, gdyż po zaginięciu Wandy Rutkiewicz od razu pojawiły się głosy, że Meksykanin „porzucił” ją w górach. Co gorsza, takie nieodpowiedzialne sugestie zostały zawarte w wydrukowanej przez „Gazetę Wyborczą” wypowiedzi znanej polskiej alpinistki, Anny Okopińskiej.

Tam na górze nie można nikomu pomóc.

O ile wiadomo, Meksykanin nakłaniał Wandę do zrezygnowania z ataku. Jej samopoczucie nie było najlepsze, tempo wspinaczki powolne. Świadomie decydowała się na biwak; czyniła tak już wiele razy poprzednio. Znając Wandę jestem przekonany, że chciała wykorzystać najmniejszą nawet szansę na zdobycie wierzchołka. Tak trzeba, kiedy próbuje się dokonać czegoś wielkiego lub niezwykłego.

Wanda była bez wątpienia najwybitniejszą alpinistką świata. Na pewno jedną z najbardziej doświadczonych. Miała na koncie (nie licząc wielu innych sukcesów) osiem zdobytych ośmiotysięczników: Everest, Nanga Parbat, K2, Shisha Pangmę, Gasherbrum II, Hidden Peak, Cho Oyu i Annapurnę. W tej konkurencji wśród kobiet nie ma sobie równych (pewnie jeszcze długo żadna „baba” nie będzie w stanie jej dorównać), ale i niewielu mężczyzn może poszczycić się podobnymi osiągnięciami. Zamierzała w najbliższym czasie pokonać wszystkie 14 najwyższe szczyty Ziemi, i wejście na Kangchenjungę było elementem tego planu. Jak dotąd, zdobycie „Korony Himalajów” powiodło się tylko Tyrolczykowi Reinholdowi Messnerowi i Polakowi Jerzemu Kukuczce.

Kangchenjunga jest trzecim co do wysokości szczytem świata. Przed rokiem Wanda Rutkiewicz próbowała już zdobyć ten szczyt w ramach wyprawy jugosłowiańskiej, od strony południowej. Wtedy wprawdzie dokonano pięknych wejść, ale dwoje uczestników zginęło w czasie ataku na szczyt. Tym razem górę atakowano od północy i znowu podobny scenariusz: po zwycięstwie, tragedia.

Po pierwszej wiadomości wszyscy z drżeniem oczekiwaliśmy na dalsze informacje. Od początku nadzieje były praktycznie żadne, choć nikt głośno nie chciał tego powiedzieć. Można było spodziewać się tylko wiadomości pozytywnej, ale to graniczyłoby z cudem. Tej ostatecznej wiadomości tragicznej jeszcze długo nikt nie mógł potwierdzić. Uczynił to czas.

Aleksander Lwow
(1 czerwca 1992 r.)



Pierwsze trzy zdobywczynie Everestu. Od prawej: Junko Tabei, Pandong i Wanda Rutkiewicz
Foto: Archiwum A. Lwowa

PAMIĘCI WANDY RUTKIEWICZ

Znów nas boleśnie góry ukąsiły.
Przyszła wiadomość, która serce ścisła
– Wanda została pośród rumowiska
Wiecznych lodów i ostrych w Himalajach grani.
Żal. I znów Gór zwycięstwo.

A przecież skromną była, jak wielki bohater,
Odporna na oklaski, zaszczyty i chwałę.
Jedną ideą żyjąc – wspiąć się siłą hartu
Na szczyt wysoki, wbrew śniegom i wiatrom.
Nie doszła. Sił zabrakło. – Ale,

Kto ukochał góry, ten zdaje się wiedzieć,
Że niebotyczne szczyty śmiały kochają bez granic.
Ścieląc dla kochanek tożę, w ustronnej kolebie,
By mogli spocząć na wieki – wśród gładów
Wiele lat deptanych.

Dlatego żegnaj Wando, pogrzebana w lodach,
Dołącz do wielu swoich poprzedników.
Niech Góry nadal wznoszą dumnie czoła
Raniąc boleśnie grono taterników.
Nie będzie w nas rozpacz!

Pamięć o dzielnej dziewczynie zostanie,
Wśród nas, żyjących tatrzańskich wspinaczy.
I z każdej góry zdobytej, czy zębatej grani,
Wzniesiemy oczy wyżej
WANDA na nas patrzy!

Kraków, VI 92
Ryszard Magnuszewski

Olbrzymie znaczenie dla wspinania klasycznego ma jakość obuwia, które musi spełniać cały szereg wymagań. Nowoczesny trzewik skalny przypomina trampek, bardzo ściśle przylega do stopy, zakłada się go z dużym trudem, a po chwili ma się wrażenie, iż jest to raczej bucik hiszpański niż wspinaczkowy. Cała ich doskonałość polega na zastosowaniu

ludzie realizują się w jednej wybranej formie uprawiania tego sportu. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do zagadnień sprzętowych.

Bardzo wiele elementów wyposażenia alpinistycznego wykonuje się teraz z tytanu. Rzadki ten metal łączy w sobie wytrzymałość stali z lekkością aluminium, i z tego właśnie powodu jest chętnie używany

zaopatrzeniowcem, pakowaczem, transportowcem, kombinatorem, dyplomata, księgowym, petentem, żebrakiem, natrętnym nudziarzem i sprawnym menedżerem, a dopiero na samym końcu – po całych miesiącach przygotowań, po przejazdach, przelotach i karawanie dojsciowej – alpinistą. Regułą jest, że odlatując z kraju na wyprawę, himalaista z ulgą zagłębia się w

Super guma i tytan

specjalnej gumy – stosunkowo sztywnej, ale odpornej na ścieranie i cechującej się niezwykłym współczynnikiem tarcia. Ponoć z takiej właśnie gumy produkuje się opony do samochodów Formuły 1. Wprowadzenie do powszechnego użytku butów tego typu jest jedną z tajemnic obecnego wyśrubowanego poziomu wspinania klasycznego.

Przechodzenie dróg lodowych wymaga użycia całego arsenału sprzętu technicznego: raków, czekana, czekano-młotka lub młotka lodowego, haków i śrub lodowych, sztywnych butów na wibracie (teraz już najczęściej plastikowych), liny i karabinków. Zastosowanie nowoczesnych materiałów (stal pancerna, tytan) oraz wypracowanie optymalnych form i kształtów poszczególnych elementów tego wyposażenia, pozwala obecnie na stosunkowo łatwe przechodzenie najbardziej wymyślnych formacji lodowych, co dla niektórych stanowi odrębną i jedyną godną uwagi dyscyplinę wspinaczkową. Jasne jest, że dobry alpinista w równym stopniu powinien mieć opanowane wszystkie najważniejsze umiejętności, od pewności w skale poczynając, poprzez obycie z zimą i lodem, a na radzeniu sobie z wysokością kończąc. Góry wysokie, zarówno Alpy, jak Pamir czy Himalaje, stawiają przed wspinaczem trudności jak najbardziej zróżnicowane. Wbrew rozpowszechnionemu w naszych czasach mniemaniu, że tylko wąska specjalizacja pozwala osiągnąć najwyższy poziom, w alpinizmie nic nie stoi na przeszkodzie, by – w swoim czasie – być autentycznym mistrzem w każdej z dyscyplin wspinaczkowych. Oczywiście, nie da się zwyciężyć w zawodach wspinaczkowych dwa tygodnie po powrocie z ośmiotysięcznika. Wspinaczy wszechstronnych jest stosunkowo niewiele i najczęściej

do wyrobu raków, czekanów, haków, śrub lodowych, karabinków itp. Jest to bardzo ważny surowiec strategiczny, a to sprawia, że zdobycie tytanu drogą kupna nie jest prawie możliwe. Do tego dochodzi jeszcze stosunkowo wysoka jego cena. Zachodni sprzęt tytanowy jest bardzo drogi. Ale to, co nie jest możliwe w USA, było osiągalne w ZSRR. Od wielu lat Rosjanie posługują się przede wszystkim sprzętem tytanowym, produkowanym chałupniczo lub półoficjalnie w „kooperatywach”. Surowiec przenikał na wolny (czyli czarny) rynek w olbrzymich ilościach, będąc jedyną pożądaną przez alpinistów zagranicznych „walutą” dla Rosjan – poprzez wymianę – jedyną szansą zdobycia nowoczesnego sprzętu.

Każdy „normalny” sportowiec – piłkarz, lekkoatleta czy gimnastyk – jest zazwyczaj hołubiony, niczym rzadka roślina w oranżerii i teoretycznie jedynym jego zmartwieniem jest, by zdrowie dopisywało. Sztab ludzi złożony z działaczy klubowych, trenerów, masażyistów i lekarzy dba o wszystko, od sprzętu i spraw organizacyjnych poczynając, a na gratyfikacjach finansowych kończąc. Korzyści, jakie płyną z uprawiania niektórych dyscyplin sportowych, pozostają u nas w rażącej dysproporcji do reprezentowanego przez uprawiających je zawodników poziomu, zwłaszcza w porównaniu do „świata”. Pod tym względem, a może właśnie dlatego, wyczynowy alpinizm ma się akurat odwrotnie. Światowej miary osiągnięcia plasują polski himalaizm w najściślejszej czołówce międzynarodowej, a tymczasem cały system finansowo-organizacyjny rządzący tym sportem ma charakter hobbistyczno-amatorski. Podczas gdy „prawdziwy” sportowiec nie musi i nie powinien zawracać sobie głowy niczym prócz treningu, alpinista robi wszystko, prócz treningu właśnie. I tak, kolejno lub jednocześnie, jest: organizatorem,

fotelu samolotu, mając pierwszą od długiego czasu okazję do wypoczynku.

Wszystko, co wiąże się z przygotowaniem ekspedycji, a więc zdobycie odpowiednich funduszy, zakupy sprzętu i żywności, dopełnienie tysiąca formalności, pakowanie setek ładunków, spedycja i wcale niemała sprawozdawczość, wszystko to spada na barki „zawodnika”, który później musi jeszcze brać udział w kilkumiesięcznych i wcale nie najbezpieczniejszych „zawodach” bez widowni. I gdzie tu sprawiedliwość? By dopełnić obrazu całości, trzeba jeszcze przypomnieć, że wszystko to dzieje się kosztem tzw. normalnego życia, przede wszystkim rodziny i kariery zawodowej, które siłą faktu schodzą na dalszy plan. Zamiast – naturalnego w końcu – dorabiania się, awansowania i ugruntowywania własnej pozycji społecznej, wybieramy materialną niepewność, ale też względną niezależność, długotrwałe rozłąki z najbliższymi oraz poważne ryzyko, co dopiero po latach okazuje się być solą naszego życia. Jest to cena, jaką płaci się za nieopisane doznania, za szansę poznania kawałka świata, za możliwość dokonania czegoś niezwykłego, poznania siebie na wskroś lub „spojrzenia poza granicę śmierci zachowując życie”, jak to pięknie sformułował kiedyś psychiatra-alpinista doc. Z. Ryn.

Być alpinistą nie opłaca się, to pewne, ale jestem przekonany, że mimo wszystko warto nim być. Mówi się, iż dobry alpinista, to stary alpinista. Oczywiście, sporo w tym przesady, gdyż Przeznaczenie wciąż zabiera kogoś z naszego grona, nie bacząc na cokolwiek. Wierzymy więc, nie mając innego wyjścia, że nam – właśnie nam (mnie, tobie) – nie stanie się w górach nic złego.

c.d.n.

Tragedia "Hallo World!" na Mount Blanc

Dla uczczenia idei olimpijskiej udało się w ub. roku zorganizować w Czecho-Słowacji międzynarodową imprezę alpinistyczną pod hasłem „Hallo World!” (Witaj Świecie!).

Chodziło o to, by do 1992 r. dokonać wejść na najwyższe szczyty pięciu kontynentów. Całością kierował Stanislav Pavliček, a filarami, zmieniającego się wciąż składu zespołu, byli najwybitniejsi alpinisci czescy, Josef Rakončaj i Miroslav Smid. W pewnym okresie zanosiło się nawet na to, że zespół wspinaczy z „Hallo World!” dołączy do mojej jesiennej wyprawy na zachodnią grań Everestu, co ostatecznie nie doszło do skutku.

W ramach wspomnianego przedsięwzięcia na początku lutego sześciuosobowy zespół dokonał wejścia na najwyższy szczyt Europy, Mount Blanc. Wierchołek osiągnięto od strony włoskiej drogą „normalną” (turystyczną) ze schroniska Torino, do którego dotarto kolejką, gdyż w tym czasie słynny „wyciąg” na Aiguille du Midi był w remoncie.

Szczyt został zdobyty 2 lutego przez dwa zespoły. Josef Rakončaj i dwaj towarzysze byli na górze wcześniej i zeszli do schronu Vallota, gdzie oczekiwali na pozostałych. Warunki były wtedy bardzo niekorzystne, gdyż pokryty twardym lodem masyw przypominał „szklaną górę”. Dopiero następnego dnia dotarł do Vallota poważnie odmrożony (dłonie) Dušan Kowal, jeden z trzech pozostałych uczestników wejścia, należący do drugiego zespołu.

Okazało się, że podczas zejścia ze szczytu Stanislav Pavliček, jak wspominałem – główny organizator i menedżer imprezy „Hallo World!”, pośliznął się na lodzie i spadł na stronę włoską. Pozostali dwaj wspinacze schodzili bardzo powoli i w efekcie zabiwakowali w ścianie. Nazajutrz, już stosunkowo blisko schro-

nu, spadł – tym razem na stronę francuską – dr Pavel Cyčvarek.

Pośliznięcie się na stromym i oblodzonym stoku jest zawsze bardzo niebezpieczne i tylko duże doświadczenie oraz natychmiastowa reakcja mogą uratować alpinistę od niechybnej tragedii. W podobnych warunkach, choć na łatwiejszym stoku (Elbrus na Kaukazie), doszło w 1981 r. do wypadku Wandy Rutkiewicz, która doznała wtedy otwartego złamania uda, wskutek czego była wyłączona z działalności alpinistycznej przez dwa lata.

Załamanie pogody (jak zwykle w takich wypadkach przeciwności losu kumulują się) uwięziło uratowanych w Vallocie przez następne trzy dni i dopiero później zdjął ich helikopter ratunkowy żandarmerii francuskiej, wezwany przez radio zainstalowane w schronie na stałe. Loty poszukiwawcze nie przyniosły prawie żadnych rezultatów, gdyż odnaleziono tylko czekan Cyčvarka. Ciało nie udało się odszukać, ale obaj poszkodowani nie mieli praktycznie szans na przeżycie upadków.

Tragedia na Mount Blanc, która jest najlepszym przykładem, że nawet pozornie niewielkie, znane i zdeptane góry zawsze kryją w sobie poważne niebezpieczeństwa (zwłaszcza w zimie), miała również inne – ważne bezpośrednio dla mnie – implikacje. Otóż, wraz ze śmiercią Pavlička, załamała się organizacja bardzo już zaawansowanej w przygotowaniach (przewidzianej na wiosnę br.) wyprawy grupy „Hallo World!” na Everest od strony tybetańskiej, do udziału w której zostałem zaproszony przez Josefa Rakončaja. Ale cóż to znaczy wobec śmierci kolejnych dwóch przyjaciół w górach?!

Aleksander Lwow



K2. Foto: Jerzy Kukuczka (z archiwum A. Lwowa)

Kronika towarzyska

W KONRADOWIE PO RAZ TRZECI

Całkiem błahy powód w postaci XXII rocznicy uprawiania alpinizmu przez Alka Lwowa był pretekstem do zorganizowania trzeciej z kolei imprezy towarzyskiej pod nazwą *Raz Do Roku w Konradowie*, która odbyła się tamże w dniach 11-12 kwietnia.

Dwunastoma samochodami przybyło dwudziestu gości (znak czasu!). Dwie osoby dotarły pieszo (z sąsiedniego domu). Wieś Konradów reprezentowało dwóch całkowicie pijanych byłych pracowników byłego PGR-u, którzy kierując się niezawodnym węchem, bezbłędnie zlokalizowali skrzynkę piwa konsumowanego z kiełbaskami pieczonymi na ognisku.

W spotkaniu udział wzięli stali bywalcy: Stanislav Anioł – inż. mech., Janusz Fereński – sędzia, Jacek Jaśko – dziennikarz „Gazety Wyborczej”, Janusz Kulis – przedsiębiorca, Zbigniew Piotrowicz z żoną – stolarz, Piotr Snopczyński z żoną – naczelnik GOPR, Józef Stępień – właściciel firmy i Jerzy Szymbor – dr inż., pracownik naukowy Politechniki oraz „nowicjusze” z Górnego Śląska, Janusz Majer z żoną – prezes, Ryszard Warecki – biznesmen i Jacek Kozakiewicz – szwagier Wareckiego, oraz (nasz) Marek Trzeciakowski z żoną – fotografik.

Swoją nieobecność usprawiedliwili doc. Piotr Garbaczewski i dr med., poeta Kazimierz Pichlak. Wszyscy inni, zaproszeni, lecz nieobecni bez usprawiedliwienia, automatycznie wypadli z komputerowej listy gości na rok przyszły, gdyż udział w RDRwK jest jedynie zaszczytnym prawem zaproszonego, nie zaś ponurym obowiązkiem. Niech więc bawią się ci, co mają na to naprawdę ochotę.

Jak zwykle pogoda dopisała, więc biesiadowano i bawiono się pod gołym konradowskim niebem do „białego rana”. Atrakeje pirotechniczne zapewnił (jak zwykle) naczelnik Snopczyński, choć tym razem zabrakło petard. Tańczono na podwórku przed domem, a niekwestionowanym „królem klepiska” był niez mordowany prezes Majer. Przy ognisku pierwszy głos, tradycyjnie już, należał do sędziego Fereńskiego, czasem tylko wspomaganego słabnącym barytonem byłego traktorzysty z byłego PGR-u. Nad porządkiem czuwał dyskretnie solenizant Alek Lwow, mając na uwadze przede wszystkim nielicznych palaczy i stodołę (czytaj: pokoje gościnne). Felicja, w cywilu właścicielka obiektu zwanego popularnie Ruiną, miała pieczę nad całością, za co należą się jej wyrazy szczególnego uznania i podziękowania, gdyż impreza była udana. W każdym razie obeszło się bez skandali.

(al)

POZDROWIENIE TATR

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze, nad wzgórze, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodziną moją pozdrów wies
I dunajcowy prąd!

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat!

I do tych śnieżnych skał się zwróc,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąc kroć
Mój cały górski kraj!

Kazimierz Tetmajer

ULEWA

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz
I roś z chmur wyciska,
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór,
Zasłony spadły sine,
W deszczowych łzach granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic – błękitów tło
I całe widnokregi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień, i noc, i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany;
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr,
Głośniej się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr,
Mrok szary i ulewa.

Adam Asnyk

WYDAWNICTWO GÓRSKIE

34-520 PORONIN
ul. Tatrzańska 141, tel. (0-165) 744-07

Oferuje i poleca monografie

Andrzeja Matuszczyka
„GORCE”

57 tras, 340 str. Cena detaliczna 33 tys. zł
(wysyłka na koszt Wydawnictwa)

Niebawem ukażą się:

- A. Matuszczyk, Informator o szlakach górskich w Karpatach Polskich
- T. Staich, Góry wołają (wznowienie znakomitych gawęd przewodniczkich).

Wydawnictwo zaprasza do współpracy
księgarń i hurtowni

Wkrótce w Góry Sokole z nowym przewodnikiem wspinaczkowym

Długo oczekiwany przewodnik „Skalki Wzgórza Sokolik w Rudawach Janowickich – Przewodnik wspinaczkowy” ma szansę trafić do księgarń jeszcze w bieżącym roku. Przewodnik ten został opracowany przez dr. Kazimierza Głazka, jako efekt zbierania materiałów od prawie 35 lat, przy blisko trzyletniej współpracy z Władysławem Janowskim. Rysunki do niego (w liczbie stu!) przygotował Wojciech T. Wajda, są one zresztą udostępniane przez niego (odpłatnie) zainteresowanym wspinaczom. Maszynopis (bez rysunków i zdjęć) liczy trzysta czterdzieści stron tekstu i zawiera – oprócz opisów dróg wspinaczkowych – wiele informacji dotyczących eksploatacji taternickiej Gór Sokolich, zasadniczy tekst poprzedzony jest też wiadomościami geograficzno-przyrodniczymi dotyczącymi tych gór. Materiał jest znacznie obszerniejszy niż wydany przed dwudziestu laty przewodnik dr. J. Kolankowskiego. Przykładowo na skałce Sukiennice opisano obecnie 52 drogi wspinaczkowe, nie licząc pomniejszych wariantów.

Przygotowanie przewodnika do druku zawdzięczamy oficynom wydawniczym „Kraj” i „Sudety”. Niestety, obie one borykają się z trudnościami finansowymi, tak więc, aby przyspieszyć ukazanie się tego przewodnika przydałby się jakiś bogaty sponsor, który zechciałby pokryć choć kosztą druku (a profit ze sprzedaży szybko mógłby zrekomensować z nawiązką ten wydatek).

Warto dodać, że autor ma już przygotowany w 90% materiał do następnej części przewodnika obejmującej skałki na Krzyżnej Górze, Browarówce i na Rudziku. Zaawansowana jest też praca nad ostatnią częścią dotyczącą pozostałych skałek Rudaw Janowickich. Ponieważ te pozostałe rejony wspinaczkowe są mniej uczęszczane i trudno jest skompletować informacje historyczne na temat wspinaczek tam odbywanych, więc prosba do wspinaczy i miłośników taternictwa, aby posiadane informacje przekazali autorowi (czy to bezpośrednio, czy też za pośrednictwem Redakcji naszego czasopisma).

Emerytowany Taternik